

Rocznik VII.
N.° 7 — 1903
DA MIHI
ANIMAS
CAETERA
TOLLE
Wiadomości Salezyańskie
Euntes omnes
docete gentes
TURYN
DRUKARNIA SALEZYAŃSKA

POMOCNICY SALEZYAŃSCY

czyli

SPOSÓB PRAKTYCZNY

PODNIESIENIA OBYCZAJÓW

W SPOŁECZEŃSTWIE.

(Ciąg dalszy).

BREWE OJCA ŚW. PAPIEŻA PIUSA IX.

PIUS PP. IX.

AD PERPETUAM REI MEMORIAM.

Cum sicuti relatum est Nobis, Pia quaedam Christi fidelium sodalitas, quam **Sodalitatem** seu **Unionem Cooperatorum Salesianorum** appellant, canonice instituta sit, cujus sodales tum alia plurima pietatis et charitatis opera exercere, tum praesertim pauperum ac derelictorum puerorum curam suscipere sibi proponunt; Nos, ut sodalitas hujusmodi majora in dies suscipiat incrementa, de Omnipotentis Dei misericordia, ac BB. Petri et Pauli Apostolorum auctoritate confisi, omnibus utriusque sexus Christi fidelibus ad hanc sodalitatem adscriptis vel pro tempore adscribendis, in cujuslibet eorum mortis articulo, si vere poenitentes et confessi ac s. Communione refecti, vel quatenus id facere nequiverint, saltem contriti Nomen Jesu ore si potuerint, sin minus corde devote invocaverint, et mortem tanquam peccati stipendium de manu Domini patienti animo susceperint, **Plenariam**: nec non iisdem Sodalibus, vere poenitentibus et confessis, qui uno quo cuique eorum libeat cujuslibet mensis die in aliqua Ecclesia aut Oratorio publico Sanctissimae Eucharistiae Sacramentum sumpserint, et Ecclesiam aut Oratorium ipsum devote visitaverint, ibique pro Christianorum Principum concordia, haeresum exstirpatione, peccatorum conversione ac S. Matris Ecclesiae exaltatione pias ad Deum preces effuderint, **Plenariam** similiter omnium peccatorum suorum Indulgentiam et remissionem, quam etiam animabus Christifidelium, quae Deo in charitate conjunctae ab hac luce migraverint, per modum suffragii applicare possint, misericorditer in Domino concedimus. Praeterea peculiari supradictos sodales benevolentia prosequi volentes, omnes iisdem **Indulgentias** tum **Plenarias** tum **Partiales**, quas Tertiarii S. Francisci Assisiensis ex concessione Apostolica consequi possunt, elargimur; atque ut, quas indulgentias Tertiarii diebus festis et in Ecclesiis sancti Francisci Assisiensis lucrari possunt, diebus festis S. Francisci Salesii et in ecclesiis Congregationis Presbyterorum Salesianae consequi licite ac libere valeant, dummodo quae pro Indulgentiis hujusmodi

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

DZIEŁA X. BOSCO

Cottolengo 32 Turyn (ITALIA)





A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje. (Mat. XVIII, 5).

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychowywać ją po chrześcijańsku: dawajcie jej do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę. (Papież Pius IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ostrzedz przed sidłami ze psucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie. (Ojciec Św. Leon XIII).

ROCZNIK VII. Nr. 7. Wychodzą co miesiąc. LIPIEC 1903

TREŚĆ:

Trzeci Zjazd Międzynarodowy Pomocników Salezyańskich i kwestya społeczna.

Strejki, zamieszki i bunty, które niepokoją i cechują bieżącą chwilę historyczną, opanowały zakres faktów tak gwałtownie, że przestały być rzadkimi wypadkami, przybrały charakter stały, ciągły, powszechny, i stały się gangreną każdego kraju, ponurem tłem każdej godziny. Kiedy się między dwiema wielkiemi potęgami, między kapitałem i pracą, rozluźniły i zerwały zupełnie stosunki równowagi, kiedy robotnik zaczął pomiatać zwierzchnością a pan znieważył i skrzywdził chłopka i rękodzielnika — wtedy na całym świecie, tak w Europie jak w Ameryce, wybuchnęła straszna walka między tłumami rozjuszonych robotników a chlebodawcami.

Na ziemi dokonały się przewroty, które dotknęły fatalnie nie tylko przemysł, handel, własność ziemską i dobrobyt powszechny, ale i poszczególne jednostki i rodziny. To rozprzężenie wywołało niepewność stanu robotniczego, chwiejność i utratę pracy, płacz i głód żon i dzieci, najskrajniejsze gwałty lichwiarskie, wzajemny jad i ślepą namiętność zemsty, wszelkie nadużycia wolności, najohydniejsze występki i zbrodnie.

Za pomocą wstrętnych piśmideł, na haniebnych zebraniach i po brudnych karczmach, zaczęto rozsiewać zasady socyalistyczne i nazywać je obłudnie niedalekimi widokami pomyślności i ewangelią ludu. A ponieważ ruch ten zmierza do stopniowego wyzucia narodów z wiary Chrystusowej a kapłan z urzędu i powołania stoi na straży prawa Bożego, zaczęto podawać w ohydę duchowieństwo i oskarżać je o różne zmyślone zbrodnie.

Na domiar złego doktryny socyalizmu doznały silnego poparcia ze strony panów, kapitalistów i władców, bo ich życie, przeciwne często prawu Bożemu, kościelnemu i przyrodzonemu, utwierdza lud i młodzież w obłędzie, że bez wiary i Ewangelii mogą żyć szczęśliwie zarówno mali jak wielcy, panujący i poddani.

Nie pamiętam, w którym pisarzu angielskim wyczytałem tę myśl: Kiedy ludzkość chyli się pod naciskiem nędzy i chorób wewnętrznych a coraz to częściej, coraz to chciwiej spogląda w ciemne przepaści rozpaczy, P. Bóg wybiera sobie jakąś duszę, którą pierw stroi w cnoty, wzmacnia bohaterskiem męstwem, uzbraja w nadzwyczajną mądrość, a którą następnie posyła do ludzi, aby im przywróciła postradany pokój i nadzieję. Nie pamiętam już autora tego zdania, bo z tą myślą napotykamy się bardzo często w książkach. Człowiek, przed którym drugi człowiek się kłania i którego zwie geniuszem, jest zawsze pocieszycielem. Czy nim jest filozof, który z pewników za pomocą nici logicznej jakąś oczekiwaną prawdę wysnuwa, czy nim jest poeta, który swą pieśnią uświęca powszechne dążenia, czy uczony, który prowadzi ludzkość z tajemniczego łona przyrody do szczytów religii, czy apostoł, który za swój ideał śmierć męczeńską ponosi, czy mistyk, który uczy modlitwy, czy święty, którego słowo goi rany współczesne i wlewa nowego ducha w serca sparaliżowane przesytem ziemskim — echo jego głosu brzmi coraz to szerzej, coraz to wyraźniej, a jego dzieła zostają nienaruszonym pomnikiem przemijającej chwili. Obok burzyciela, natchnionego przez szatana, P. Bóg stawia zwykle człowieka, który jest genialnym twórcą i odnowicielem.

Kim był ks. Bosko i czego dokonał? Ile razy zastanawiam się nad rozwojem tego skromnego kapłana, nie mogę myśli oderwać od ruchu, który mniej więcej w tymże czasię wywołał i którym pokierował Karol Marx. Pomimo że przekonania i zasady tych dwóch postaci historycznych wzajemnie się wykluczają, dostrzegamy w nich bodaj jeden rys wspólny, t. j. żal i litość, które ich na widok teraźniejszego stanu rzeczy opanowały.

Jakkolwiek teorye Marxa są nam zupełnie obce, musimy przyznać, że autor *Kapitału* podlegał wpływowi potężnego idealizmu, który był niby jego siłą przewodnią. Jeżeli jednak zestawimy ten idealizm z idealizmem młodego ks. Bosko, który nie należał do szeregu pierwszorzednych socyologów, nie wertował kolosalnych dzieł o ekonomii politycznej i nie był upojony poglądami Kanta ni Hegla — zauważamy, że duch ks. Bosko jest bez porównania pogodniejszy i racyonalniejszy, niż Marxa. Ks. Bosko był filozofem, ale tomistą; płonął miłością, ale chrześcijańska; był filantropem, ale zgodnie z zasadami wiary, a nadto oznaczał się taką prostotą franciszkańską, jakąś przeźroczystością myśli, jakimś religijnym spokojem, które dziełom jego zapewniły niezaprzeczony blask i wyższość.

Marx umiał nadać naukowy układ chaosowi zdań i wniosków, ale popełnił wielki błąd, gdy teoretycznym dowodem i abstrakcyjnem rozwiązaniem ekonomicznem myślał przywrócić stałą równowagę między kapitałem a pracą, między bogactwem a biedą, dumnym panem a pokwrzywdzonym robotnikiem. Skutek jego pracy był ten, że w porządku moralnym wywołał niezadowolenie, w porządku ekonomicznym okropny przewrót i rozgoryczenie a w porządku politycznym groźną rewolucyę. A inaczej być nie

mogło, bo jego obrachowaniu brakowało najważniejszego założenia i ostatniego pewnika: wiary w życie pozagrobowe.

Tymczasem dobroczynne dzieła ks. Bosko, oparte na prawie Bożem, zapoczątkowane bardzo skromnie, nie głośne, nie olśniewające, nie uzasadnione kodeksami ani rozprawami, świadczą do dziś dnia o jego wyższości nie tylko pod względem praktyczności pomysłów, ale także co do korzystnego wpływu na społeczeństwo. Bo ks. Bosko nie chciał rozwiązywać zagadnienia o szczęściu ludzkiem przez wyłączne uwzględnienie jego czynnika materyalnego; lecz zlewając kształcenie duszy z wychowaniem ciała, umiał w nadzwyczajny sposób zahartować do walki o życie tych rozbitków, którzy idąc za jego głosem, dostali się szczęśliwie na brzeg jego miłosierdzia.

Nie mam zamiaru rozstrzygać kwestyi, czy ks. Bosko miał pełną świadomość o nieobliczonych korzyściach, które z czasem z jego dzieł logicznie wypłynąć miały. To pewna, że sąd całej ludzkości orzekł go wielkim mężem, który w wielostronnej działalności czynnego życia okazał niezrównaną znajomość ducha ludzkiego, nieprzełamaną wewnętrzną energię, wielki zmysł polityczny i organizacyjny. Jego najwybitniejszą cechą jest podobno dokładne ocenienie swych czasów. Najpoważniejsi ludzie spoglądali z podziwem na tego olbrzyma a kto się raz z nim zapoznał, czuł zwykle dlań w swem sercu tajemniczą cześć. Czyny jego życia doprowadziły go do wytkniętego celu i zapewniły mu wielkie imię.

Ale przypuściwszy nawet, że on nie przewidywał całego szeregu doniosłych następstw swego apostolstwa społecznego, nie możemy zaprzeczyć, że zasługi jego dzieł pozostaną na zawsze chwałą jego imienia. „Bóg temu zaradzi!“ mawiał on w najkrytyczniejszych przejściach swego przedsięwzięcia. I czy to nie jest nowym powodem, aby uczcić tę wiarę, która wydaje bohaterów, błyszczy sławą, buduje



Jego Em. X. Kard. Augustyn z hrabiów Richelmy, Arcybiskup turyński. Papieski Delegat do ukoronowania obrazu Najśw. P. Maryi Wspom. Wiernych.

na niewzruszonych podwalinach, potyka się zwycięsko z wrogami i z niebiańską pogodą odbywa po burzliwych przestworzach czasu swój uroczysty pochód, zostawiając za sobą niezatarte ślady pokoju i pociechy?

Wkrótce, gdy minie obecny okres słabości, który w życiu stronnictw jest zjawiskiem tak naturalnem jak w rozwoju jednostek, uderzą na siebie dwie szkoły: miłość chrześcijańska i humanitaryzm Marxa. Walka przyszłości toczyć się musi między katolikami i socyalizmem. Liberalizm stracił racyę bytu, bo w swem krótkiem istnieniu zaznaczył się sprzecznościami bez liku i przykładu... Czynnem poszukiwaniem dobrobytu społecznego zajmą się w przyszłości tylko te dwie szkoły, które pragną roztrzygnąć kwestyę o szczęśliwości ludzkiej. Walka znowu zawrze, zwłaszcza jeżeli socyaliści, zgodnie ze swemi zapowiedziami, usuną się nieco od polityki i poświęcą swe siły propagandzie. Taki ruch wywoła po stronie katolików energiczną reakcyę i jednomyślną pracę.

Kieda ta walka wybuchnie, wtedy zacznie święcić swój tryumf miłość ludzkości, głoszona według zasad religii i wtedy postać ks. Bosko otoczy się nowym blaskiem. Jego praca bowiem wychowawcza, prowadzona dalej przez jego młodych synów, zajęła tak niezmierne pole działalności, iż nie pominęła ani robotnika ani studenta, ani bogacza ani ubogiego, ani mieszczanina ani wieśniaka, ani dziecka ani mężczyzny; wdarła się do kościoła, do warsztatu i szkoły, ogarnęła Europę, Amerykę, Azyę i Afrykę i coraz dalej się rozlewa. I pod wpływem tego ruchu salezyańskiego wzrasta w wielu miejscowościach liczba chrześcijan czynnych, światłych, nieustraszonych, katolików rozumnych, gorliwych i pewnych siebie, którzy w przyszłej walce społecznej oddadzą wielkie przysługi sprawie katolickiej i przyczynią się do tryumfu miłości Chrystusowej.

I właśnie dlatego *Trzeci Międzynarodowy Zjazd Pomocników salezyańskich*, nawet ze społecznego punktu widzenia, ma bardzo doniosłe znaczenie. Wielostronna działalność salezyańska, która tych przyszłych bohaterów wytwarza i zakreślona jest olbrzymiem kołem Związku Pomocników, wymaga mądrej i ścisłej organizacyi. A jak jej zadanie jest niezmierne, jak jej pole nie ma granic, tak żadna opieszałość, żaden wzgląd ludzki, żaden przesąd nie powinien ograniczać liczby współpracowników lub tłumić ich zapału.

Pod opiekuńczym płaszczem Najświętszej Wspomożycielki, w cieniu Jej świątyni oblanej słońcem majowem, na miejscu, gdzie wielki mistrz stawiał pierwsze trudne kroki, widzieliśmy tłumy intelligencyi, która się z wszech stron świata zjechała celem odnowienia swego przymierza ze Zgromadzeniem salezyańskiem. W roztrząsaniach i mowach nie pominięto ani szkoły, ani rzemieślnika, ani sprawy ludowej, ani kwestyi rolniczych, ani spraw emigracyjnych — bo w każdej gałęzi ustroju społecznego chciano coś sprostować i udoskonalić. Po trzechdniowych naradach, po wymianie oświeconych rad i dojrzałych sądów, rozjechali się ci mężowie, aby zająć swe wysokie stanowiska; a tymczasem ziarno społeczne, które na rolę salezyańską rzucili, zaczyna się rozwijać, róść i przysparzać społeczeństwu zdrowych członków, wzorowych katolików, uczciwych robotników i pożytecznych obywateli.

Uroczystości salezyańskie.

Słówko wstępne.

Najświętszej Wspomożycielce Wiernych na wieki cześć i chwała! — Wśród nabożnych modłów i uroczystych śpiewów, wśród wzruszenia i płaczu, wśród entuzyazmu i radosnych okrzyków 200.000 pątników minęły wielkie nasze uroczystości. Ktoby pobieżnym i błyskawicznym opisem chiał oddać całą ich uroczystość, ich okazałość i porywający blask, uchodziłby za tak naiwnego, jak ów, coby przed ich przebiegiem był marzył o takiej wspaniałości. A jednak właśnie dlatego, że święta te miały taką doniosłość, musimy się postarać, aby po nich została jakaś pamiątka, jakieś sprawozdanie, jakiś pomnik tego, na cośmy własnemi oczami patrzeli. Biorąc się zatem do tej pracy, prosimy wszystkich uczestników tych świąt, aby się nie zrażali gorzkim zawodem, jakiego doznają, czytając niniejsze stronice. Chłód i sztywność sprawozdania stoi w zupełnej sprzeczności z zapałem pamiętnych dni; zdanie wydaje się puste; barwy za słabe a między zapiskami kronikarskimi dostrzegamy zupełny brak uczucia, które było przecież w harmonii świąt dźwiękiem najsilniejszym i liryczną, ponętną stroną wielkich wypadków.

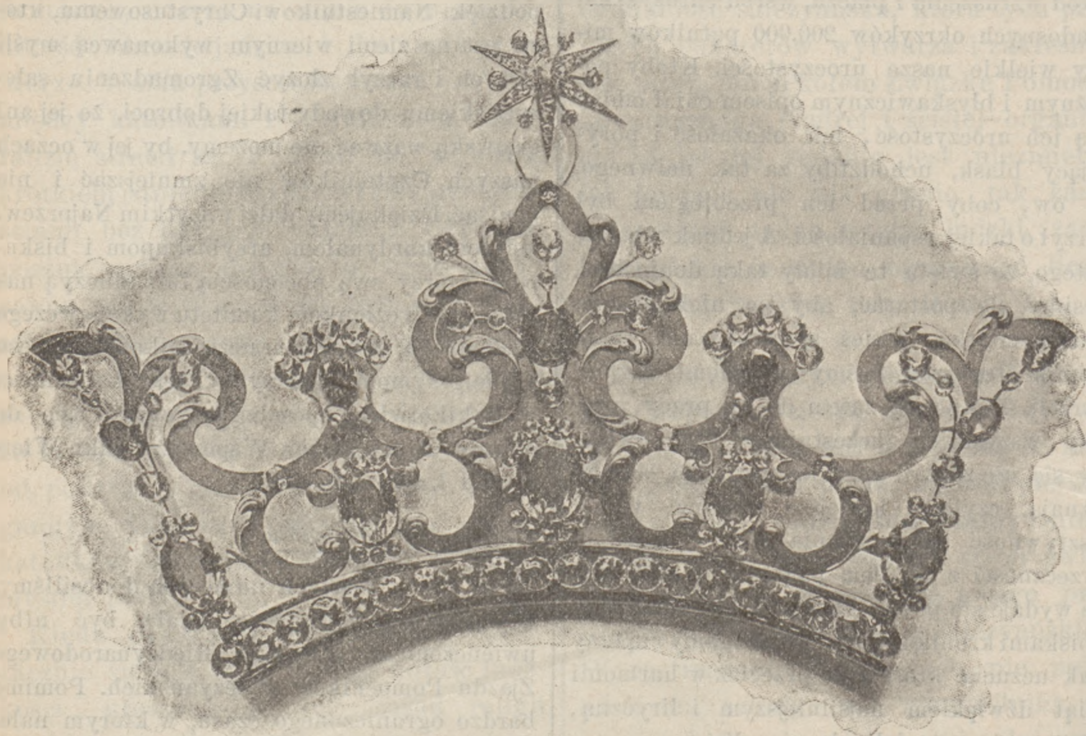
Ze serca.

Nim atoli zaczniemy zestawiać w porządku chronologicznym suche notatki kronikarskie, musimy popuścić wodzów naszym sercom, które się gwałtownie domagają swych praw, pragnąc zanucić tak uroczysty i głośny hymn podzięki i wdzięczności, iżby się wzbił do niebios i dotarł do wszystkich narodów ziemi. Za te nowe blaski, przyczyniające naszej rodzinie niebiańskiej radości, dziekujemy przedewszystkiem Bogu, który nas natchnął myślą ukoronowania Jego Matki Najświętszej. A ponieważ głos nędznych śmiertelników nie może się przedrzeć do niebios, wzywamy wszystkie chóry anielskie, by na swych lutniach złocistych po wszystkie wieki wygrywały w naszem imieniu Trójcy Przenajświętszej doniosły hymn dziękczynny. Na drugiem miejscu składamy najserdeczniejsze podzięki Namiestnikowi Chrystusowemu, który jest na ziemi wiernym wykonawcą myśli Bożych i raczył złożyć Zgromadzeniu salezyańskiemu dowody takiej dobroci, że jej ani ojcowską nazwać nie możemy, by jej w oczach naszych Czytelników nie zmniejszać i nie poniżać. Dziękujemy dalej wszytkim Najprzew. księżom kardynałom, arcybiskupom i biskupom, którzy swą obecnością lub adhezyą nas zaszczycili; członkom komitetu wykonawczego i żeńskiego, wszystkim uczestnikom kongresu i pielgrzymom, którzy w tej okoliczności w jakikolwiek sposób przyczynili się do chwały Najświętszej Wspomożycielki Wiernych i księdza Bosko.

Pierwsze przygotowania.

Jak już w zeszłych numerach donosiliśmy, uroczysta koronacya miała być niby uwieńczeniem Trzeciego Międzynarodowego Zjazdu Pomocników Salezyańskich. Pomimo bardzo ograniczonego czasu, w którym należało przeprowadzić prace przedwstępne, przywiązywano do tego kongresu wyjątkowe znaczenie, raz dla bardzo ważnych przedmiotów, które tam miano rozbierać, a po drugie dla tego, że go zamierzano zwołać do Valdocco, do samej kolebki dzieł salezyańskich i w cieniu świątyni Najśw. Wspomożycielki. Należało więc przedsięwziąć nadzwyczaj gorliwą i nieprzerwaną działalność a temu wielkiemu zadaniu umiał sprostać czynny komitet. Wydał różne odezwy; poinformował prasę całego świata o wielkich wypadkach; wystosował różne listy do stowarzyszeń katolickich, nakłaniając je do jednomyślnego działania na korzyść młodych robotników: wniósł do wszystkich serc miłosiernych prośbę o pomoc

materyalną i moralną; za pomocą poszczególnych domów salezyańskich potworzył po różnych miastach komitety miejscowe, wspierające turyński komitet wykonawczy a równocześnie zlecił swym członkom i najsłynniejszym mowcom miewać po głównych miastach Europy i Ameryki odczyty o dziełach salezyańskich. Komisyi inżynierów powierzył przysposobienie i dekoracye auli kongresowej



Korona Najśw. Panny Maryi, Wspom. Wiernych.

i wzniesienie kilku galeryi w kościele; od dyrekcyi kolei włoskich uzyskał największą zniżkę ceny biletów dla członków zjazdu i pielgrzymów i rozpowszechnił po Włoszech publikacye *Le Feste Salesiane*, która podawała wszelkie urzędowe wiadomości o przyszłych uroczystościach i wskazówki do których się pielgrzymi w czasie podróży i pobytu w Turynie stosować mieli.

Nie mniejszych cudów gorliwości dokazał komitet żeński, którego głównem zadaniem było wystarać się o złote korony i pokryć koszta uroczystej koronacyi. Odezwa tych szlachetnych pań do kobiet katolickich wywołała w różnych prowincyach i krajach szlachetne współzawodnictwo. Zewsząd zaczęto przysyłać ofiary, dyamenty, perły i inne drogie kamienie, któremi miano korony ozdobić. Skutek tak jednomyślnego i energicznego ruchu był poprostu zdumiewający.

Korony Dzieciątka Jezus i Wspomożycielki Wiernych wykonał bardzo starannie według własnego rysunku dzielny i sławny jubiler turyński kawaler Antoni Carmagnola. Wziąwszy za podstawowy rys formę koron, które już na obrazie są odmalowane, umiał jednak tak misternie swój rysunek zestawić i tak akuratnie swą pracę wykończyć, że jego korony stały się przedmiotem powszechnego podziwu. Moment pogodzenia bogactwa i blasku z wdzięczności effektem i surowością formy, stanowi zwykle dla artystów bardzo niebezpieczny szkopuł. Ale nasz artysta umiał tę trudność przezwyciężyć, bo swej pracy nadał cechę genialności i z tak artystycznym gustem

rozłożył wielką ilość drogich kamieni żę spoglądając na jego dzieło doznajemy takiego uczucia, jak gdybyśmy patrzeli na pogodzenie wielkości i mocy Jezusa i Maryi z ich miłością i dobrocią.

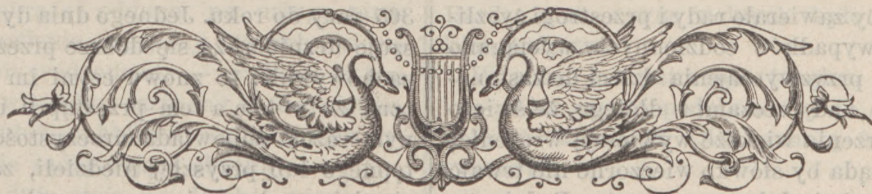
Są wykonane w klasycznym stylu renesansowym z czystego złota, którego dostarczyły osoby, czczące Najśw. Wspomożycielkę Wiernych. Do główniejszych tego rodzaju darów zaliczyć należy, prócz wielu pierścieni, zauszników, łańcuszków i innych ozdób, znaczną część łańcuszka biskupiego nieodżałowanego arcybiskupa turyńskiego ks. Gastaldi'ego, część pierścienia ś. p. Piusa IX i wielką złotą szpilkę ofiarowaną przez pewną wielką dobrodziejkę z Bolonii wraz z dwunastu brylantami, które zdobią gwiazdę nad koroną Dzieciątka.

Z rzeźbionych ozdób rzucają silny połysk kamienie drogie, z których zasługują na szczególniejszą wzmiankę wielki dyament środkowy z mitry ś. p.. ks. Riccardi'ego, arcybiskupa turyńskiego i dwa inne wielkie dyamenty podarowane przez dwóch pobożnych małżonków z Trydentu. Wszystkie inne kamienie wchodzące w skład ornamentyki środkowej są różnych gatunków i wielkości a wokoło błyszczy wielka liczba miejszych dyamentów bardzo drogich i pięknych. Lecz najwspanialszą ozdobą jest gwiazda z 39 brylantami unosząca się nad koroną Najśw. Wspomożycielki Wiernych. Gwiazda ta, która wraz z innymi dyamentami została podarowana przez pewną panią genueńską, jest symbolicznem wyobrażeniem Maryi, nazywanej *Gwiazdą Zaranną* a swym uderzającym blaskiem przypomina wezwania św. Bernarda: *Respice stellam*, *voca Mariam*, *Sporzyj na gwiazdę*, *wzywaj Maryę*.



Korona Dzieciątka Jezus.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



Ksiądz Bosko a Wychowanie.

CZĘŚĆ DRUGA.

Wykształcenie religijne i moralne.

(Ciąg dalszy).

XV.

Słówko wieczorne.

Słówko wieczorne to zwyczaj wyłącznie salezyański, nie sądzimy bowiem, by w jakimkolwiek innym domu wychowawczym istniał. Polega on na wypowiedzeniu kilku słów pouczających i budujących po modlitwie wieczornej. Oto w jaki sposób o tem mówi Ks. Bosko w ustawach domowych.

„Co wieczór, po odmówieniu zwykłych pacierzy, zanim wychowankowie udadzą się na spoczynek, kierownik zakładu lub jego zastępca przemówi krótko a serdecznie do młodzieży, zalecając jej szczególnie jaką cnotę, albo przestrzegając przed pewnym grzechem, uwiadamiając ją, lub doradzając, co ma w pewnych razach czynić a czego unikać. Osnowę tej przemowy czerpać można z ważniejszych wypadków dnia, zaszłych w samymże zakładzie, bądź po za nim, z których wysnuwać należy praktyczne wnioski i sens moralny. Przemowa ta jednakże nie powinna trwać dłużej nad dwie lub trzy minuty. Takie słówko wieczorne, jeśli jest dobrze obmyślane i wygłoszone, przyczynia się niezmiernie do utrzymania dobrego ducha w zakładzie a wogóle do osiągnięcia pomyślnego wyniku wychowania.“

Z tego ustępu wyrozumieć można jaką wagę Ks. Bosko przywiązuje do słówka wieczornego. Żąda by go nie zaniechano nigdy, by je wypowiedział dyrektor, lub w jego nieobecności ten, któremu on to w szczególniejszy sposób zleci, by zawierało rady i przestrogi życzliwe, by z wypadków codziennych wyciągano nauki dla przyzwyczajenia dzieci do zastanawiania się nad rzeczami i dlatego, że świeżo zaszłe zdarzenia większe wywierają wrażenie; wreszcie żąda by słówko wieczorne nie trwało dłużej nad dwie lub trzy minuty. Będzie to, powiada, silną podstawą dobrego ustroju, wzrostu moralności i postępu wychowanków.

Początek zwyczaju, który wraz z domami salezyańskimi rozpostarł się na dwóch półkulach świata, wypłynął tak jak każde dzieło Boże, z maluczkich początków. Wiadomo że internaty księdza Bosko zawiązały się wskutek przyjęcia przez niego kilku uczni do swego mieszkania. Pomocnicą jego i współpracownicą podówczas była jego święta matka Małgorzata, niewiasta żywej wiary i wielkiego rozsądku.

Odmówiwszy pacierz wieczorny z przytulonymi chłopcami, czyniła kilka uwag na dzień następny, przypominając im myśl o Bogu i obowiązku. Ks. Bosko naśladował w tem matkę swoją i uznał tę praktykę za bardzo skuteczną. Uczniowie jego, dyrektorowie pierwszych domów, naśladowali z kolei mistrza i tym sposobem zwyczaj rozpowszechnił się i z czasem stał się wyżej wspomnianym artykułem ustawy. Dziś rzecz ogólnie jest przyjęta w domach salezyańskich. Naśladowców mamy mało; znamy jednak pewnego wychowawcę, który nam powiedział ile zawdzięcza zaprowadzeniu tego zwyczaju w swoim pensyonacie, i że go nigdy nie zaniedbuje, bo go uznał za bardzo ważny i łatwy, bądźto gdy wypada wykładać rzecz tyczącą się pobożności, bądźto gdy chodzi o naglącą radę, której na później odkładać nie można. Istotnie łatwo zrozumieć ile rzeczy wypowiedzieć można w tych odezwach ojcowskich, powtarzanych codziennie to jest 365 razy do roku. Jednego dnia dyrektor winszuje uczniom, że się dobrze przez cały dzień zachowywali; to znowu czyni im słodki wyrzut, że w tem a tem przestąpili ustawę; innym razem zapowiada uroczystość dnia następnego lub przyszłej niedzieli, zalecając by się dobrze do niej przygotowali. Cykl litur

giczny dostarcza mu przedmiotu niewyczerpanego.

Niektórzy dyrektorowie przypominają od czasu do czasu główne prawdy religii świętej, wykładając modlitwy codzienne, wyjaśniają zasadnicze praktyki pobożności katolickiej, Sakramenty Pokuty i Eucharystii i t. d. Przy nadchodzących egzaminach mówią o przedmiotach szkolnych, o potrzebie nauki i pracy. Przy zbliżających się wakacyach, starają się zabezpieczyć dzieci przeciw grożącym im niebezpieczeństwom i wzkazują sposób unikania ich. W tych 365 corocznych przemowach niemasz ani jednej kwestyi przeoczonej. Jestto kropla wody, która często padając wyżłobia najtwardszy kamień, t. j. zamienia najoporniejszą duszę w uprawną i żyzną rolę.

Ks. Bosko był zawsze mowcą porywającym i niezmiernie chciwie słuchanym przy wieczornem słówku. Mówił on bardzo pięknie, łatwo, jasno i wytwornie, a nadto miał zawsze coś zajmującego do opowiadania. Czasami byłoto jakie zdarzenie z podróży, jaki fakt budujący, którego był świadkiem, to znowu opowiadał jaki rys z życia świętego na ten dzień przypadającego, a mowa jego miała tyle wdzięku, że trudno było się od niej oderwać.

Zaprowadził też pobożny zwyczaj *kwiateczków codziennych* podczas nowen i całego nabożeństwa majowego. Kwiatek ten to cnota, w której się trzeba ćwiczyć, to zdanie nad którem się zastanowić wypada, to punkt ustawy, który lepiej w przeciągu dnia zachować należy. Litania do Matki Boskiej dostarczała obfitego przedmiotu na cały miesiąc maj. *Kwiateczki* te Ks. Bosko sam układał, i nawet z podróży przesyłał dla odczytania i wyjaśnienia w jego nieobecności. Skoro je wieczorem wyłożono, przybijano je nazajutrz w miejscu zwykłych ogłoszeń a nauczyciele i uczniowie współubiegali się święcie, by do nich stosować swój sposób postępowania.

Największy atoli zapał wzbudzało w dzieciach opowiadanie przez Ks. Bosko jego własnych snów. Czy sny te były tworami pięknej wyobraźni oddanej na usługę żarliwości o zbawienie dusz, czy też były widzeniami nadprzyrodzonemi, — orzeknie o tem przyszłość; w każdym razie sny to arcypiękne, pobożne, budujące, które w uczniach wywoływały istotnie zadziwiające skutki.

Pewnego dnia staje Ks. Bosko wieczorem po pacierzu przed dziećmi i bez wszelkiego wstępu, odzywa się do młodych słuchaczy w sposób następujący: „Moje dzieci, nie jestem z was zadowolony.“

„Trzeba było znać Ks. Bosko,“ powiada Monsignor Belasio, „i cieszyć się jego miłością, by zrozumieć jakie wrażenie wywarły te słowa.“

I dalej mowił: „Po całej pracy nad wami, po wszystkiem, co dla was uczyniłem i co czynię ciągle, pochlebiałem sobie, że lepiej odpowiecie troskliwości mojej.“ Potem zaczął opowiadać swój sen.

„Zeszłej nocy sniło mi się, że byłem w Becchi (1). Wyszedłem właśnie z naszego małego domku, by się przejść po wsi, kiedy spostrzegłem staruszka siedzącego na kamieniu. Ten, widząc mnie zamyślonego i smutnego, począł mi czynić wymówki.

—„Co to jest? Ty jesteś dumnym! Za co się ty masz? Kochasz swoje dzieci, chciałbyś, aby odpowiadały twoim staraniom? A Jezus, czy nie kochał ludzi? i czy ich nie kocha?

—„Tak, ale po tylu trudach!... po tylu pracach duchownych!...

—„Chcesz zobaczyć twoje dzieci takie, jakiemi są teraz? Chcesz je widzieć w przyszłości? Chcesz je porachować?!“

—„O! tak! tak!

—„Chodź więc. — Staruszek poprowadził mnie na pole piaszczyste i bardzo nieurodzajne, gdzie nieraz pracowałem w młodości. W środku owego pola znajdywał się przyrząd bardzo dziwny, którego określić nie potrafię.

Nieznajomy powiedział: „Przybliż się i popatrz na swoje dzieci.“

Zbliżyłem się do przyrządu, przystawiłem moje oko jakby do lunety, i widziałem was tam wszystkich, wszystkich was poznałem, ach! ale wyglądaliście inaczej, aniżeli ja myślałem. Jedni zatykali sobie uszy, drudzy mieli przebite języki, tamci zyzowali straszliwie, innych bolała głowa, dalej były dzieci, których serca toczyły robaki, inni mieli kłódki na ustach wreszcie ostatni mieli na ramionach uwieszone obrzydłe wielkie małpy. — Bardzo mało z was wolnych było od wszelkich kalectw.

W miarę jak patrzałem tonęłem we łzach.

—„Ależ czy to podobna aby to były moje dzieci,“ wołałem? „Co znaczą te dziwne twarze?“

---

(1) Rodzinna wioska księdza Bosko.

*

„Na te słowa staruszek powiedział:

—„Słuchaj. Chłopcy z zamkniętemi usza-„mi, to ci, co nie chcą twego słowa zastoso-„wać do życia, i zamykają nań serce. Prze-„szyte języki oznaczają tych co się zhańbili „nieskromnemi mowami. Zyzowaci źle pojmują „i tłomaczą łaskę Boską i przekładają ziemię „nad niebo. Ci których głowy bolą, wzgar-„dzili twemi radami i zadowolą się własnymi „grymasami. Ale patrz na tych nieszczęśli-„wych, których serca toczy robak złych na-„miętności! Ci tam z ustami kłódką zamknię-„temi, to ci źle się spowiadali, a dziś djabeł „strzeże, by się ich usta nie otworzyły więcej. „Tamci co mają na swych barkach wielkie „małpy, są niewolnikami złych duchów. Dla „tych nie masz się co poświęcać, nie pozyskasz „ich, nie zechcą oni za żadną cenę zrzucić „jarzma szatańskiego. Czy widzisz tam w kącie „tych co mają ręce związane...? to ci, co na „czas nie chcieli iść za twemi radami, nie „chcieli się nawrócić póki był jeszcze czas „potemu. Sprawiedliwość ludzka, przyjdzie „ci w pomoc, by dowieść że grzech nie daje „szczęścia.

„Patrzałem i płakałem, wołając „Więc wszyscy zgubieni?... tyle starań... tyle pracy... wszystko na nic!“ Staruszek rzekł: „A czemże „ty jesteś, żeś myślał, iż ich nawrócisz, iż złe „powstrzymasz, dlatego że pracowałeś?... Czy „Zbawiciel oszczędził ci trudu?“ Po tych słowach nieznajomy nastroił swój aparat, zmienił jego pozycyję i rzekł znów do mnie.

„Patrz teraz, patrz, jak Bóg jest wspaniało-„myślny, skoro za te dusze zbłąkane i głuche „na twoje rady wiele innych ci daje!“

Wtedy ujrzałem niezliczony zastęp moich wszystkich synów w najrozmaitszych strojach, z różnych krajów i najrozmaitszych mów i narodowości. Patrzałem na nich, a nie mogłem ich rozeznać.

„Oto, powiedział mi staruszek, oto są twoi synowie, których ci Bóg przyśle, a da ci „ich tyle, że nie będziesz ich miał gdzie po-„mieścić.“

Przytoczymy jeszcze inny sen księdza Bosko, którym się posłużył ku zbudowaniu dzieci swoich. „Zdawało mi się, mówił, żem jest w pobliżu wielkiej równiny. Stanąwszy na maleńkiem wzgórzu, patrzałem na tę równinę, gładką jak morze pogrążone w zupełnej ciszy, wzrok mój tonął w tym ogromie, a w dali odsłoniły się oczom moim przepyszne ogrody. Rysunek ich był artystyczny, podziwiałem zarazem kwiaty najrozmaitszego rodzaju. Były też tam drzewa, których pnie i gałęzie stanowiły drogocenne kamienie, liście na tych drzewach były złote, a owoce piękności zachwycającej. Gmachy naokoło wzniesione były z marmuru i drogich kamieni a niezliczone było mnóstwo ich szeregów i mówiłem sam do siebie: „Gdyby dzieci moje choć jeden taki miały pałac, byłyby szczęśliwe!“ W tem słyszę przedziwną muzykę, wielki zastęp dzieci śpiewających wychodzi mi naprzeciw. Nigdy muzyka tak przedziwna, ani śpiew tak dźwięczny nie obiły się o uszy moje. Oczywiście byłoto widzenie rajskie. Jakże jesteśmy szczęśliwi, dzieci drogie, że kochać możemy Boga i spodziewać się tak pięknej nagrody! Nagle ustaje śpiew, nastaje cisza głęboka. Spostrzegam grupę śpiewaków idących na moje spotkanie. Na ich czele stał Dominik Savio, który się odłącza od gromady i zbliża do mnie. Był przepiękny! Miał na sobie suknię białą pokrytą złotem i brylantami. Biodra jego przepasane były pasem purpurowym a włosy w bujnych splotach z wdziękiem spadały mu na ramiona. Brylant ogromnej wielkości zawieszony na złotym łańcuchu spoczywał na jego piersiach, a bijący od niego blask oblewał twarz i całą jego postać. W ręku niósł wspaniały bukiet. Jakże był zachwycający! Powiedziałbyś że to anioł! Oto, moje dzieci, jak będziecie pięknemi, jeśli raz pójdziecie do nieba.

Ale trzeba wam jeszcze powiedzieć z czego składał się bukiet Sawia. Były tam róże i lilie. Co za lilie! Co za przedziwne róże! Była tam jeszcze i gencyana, słonecznik, fijałki i kłosy zboża. Wtem Savio tak się odezwał: „Spójrz na ten bukiet a postaraj się, żeby każde z twoich dzieci miało podobny. Zdaje się jakobyś nie rozumiał, wytłomaczę ci to. Czyż nie wiesz że lilia to godło cnoty anielskiej, świętej skromności. Ileż to nam powtarzałeś razy? Róża wyobraża miłość; gencyana umartwienie; słonecznik oznacza posłuszeństwo; fijołek pokorę, a kłosy zboża częstą i nabożną Komunję świętą. Czy rozumiecie, dzieci moje, jaką miłą dla was otrzymałem naukę, mam nadzieję że z niej skorzystacie i że wszyscy staniecie się żywymi bukietami wszystkich cnót.

Nie na tem koniec: Sawio oddawszy mi bukiet, pokazał mi następnie trzy pliki, jakie

zamknięte w ręku trzymał. Na pierwszym wyczytałem: *Invulnerati* — nieranni — bez blizny. Na drugim: *Vulnerati* — ranni. — Na trzecim: *Lassati in via iniquitatis* — znużeni na drodze nieprawości. Wziąłem pierwszy plik i rozwinąłem go. Były tam zapisane imiona wszystkich tych, co się nigdy żadnego nie dopuścili grzechu śmiertelnego, zachowawszy czystą, białą sukienkę niewinności. Następnie oddał mi drugi plik, na którym wyczytałem imiona wszystkich, co, zranieni grzechem, odnaleźli łaskę Bożą przez szczerą pokutę. Pilno mi było widzieć trzeci spis i poznać chłopców idących drogą nieprawości. Ale zaledwie go otworzyłem, usłyszałem straszny huk-niby wystrzał armatni, a z listu tego wyszedł fetor, od którego zdawało mi się, że się uduszę. Dzieci moje, kto z was takie ma sumienie, to wy sami najlepiej wiecie. Niechaj czemprędzej je oczyści, bo wstrętnym jest Bogu i aniołom. Inni niechaj czuwają nad sobą, by nie upadli i niechaj spowiedź ich zawsze będzie dobra.“

Łatwo pojąć jakie cudowne skutki wywoływały w młodych 15to letnich wyobraźniach nauki moralne o tak silnych kolorach, i jak podobne opowiadania skutecznie oddziaływały, by usunąć złe a pobudzać do cnoty.

Pewnego razu, w dzień nowego roku, Ks. Bosko tak się odezwał: „Matka Najświętsza przysłała dla was upominki; przyjdźcie do mnie jutro a dostaniecie je.“ Święty kapłan wręczył każdemu kartkę, na której wypisana była myśl tycząca się duszy odbierającego. Czytano tam zdania tego rodzaju: Świat napełnia twe serce wirem. Nie wiesz dotychczas, co to jest posłuszeństwo. Zacznij uczyć się dobrze lekcyi miłości Boga i pokory. Z myślami buntowniczemi do raju wejść nie można. Miej ufność we mnie, bom matką twoją. Zbadaj czy we wszystkich sprawach swoich masz na celu chwałę Boga. Spożywaj częściej Chleb Anielski i nabywaj królowę cnót.

Nie wszyscy zapewne dyrektorowie domów salezyańskich są księżmi Bosko; nie mają ani jego talentów ani świętości, lecz wszyscy są zdolni wyświadczyć niezmiernie dużo dobrego uczniom swoim pod względem moralnym, przysposabiając starannie *słówko wieczorne* i wypowiadając je w duchu czcigodnego swego Założyciela i Ojca.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

W sprawie emigrantów polskich,

udających się do Argentyny,

otrzymaliśmy od ks. Cynalewskiego dwa listy, które bardzo chętnie ogłaszamy, w celu uratowaniu niektórych zapaleńców od zawodów, nędzy i niewoli, które na ziemi argentyńskiej wielu Polakom gorzkie łzy wyciskają. Czytanie tych listów zalecamy głównie tym, którzy się jeszcze łudzą szczęśliwością amerykańskiego kraju i osobom, które się wśród naszego ludu cieszą zaufaniem i mogą wpłynąć na porzucenie zgubnych i utopijnych marzeń o urojonym raju brazylijskim czy argentyńskim.

I.

Santa Rosa de Toay, 3^{go} maja 1903 r.

Mój kochany Księże Redaktorze,

Właśnie w tej chwili przybyło tu z Galicyi kilka rodzin, odwołując się na moją korespondencyę umieszczoną we *Wiadomościach salezyańskich* z lutego, a którą miałem zamiar raczej odstraszyć ludzi od wędrówki za morze a nie zachęcać ich do tak nieroztropnego kroku, jaki uczynili właśnie co dopiero przybyli bez grosza w kieszeni i bez poprzedniego uwiadomienia mnie. A przecież w mojej korrespondencyi wyraźnie zaznaczyłem, że aby być po niejakim czasie panem kawałka ziemi, jest koniecznem przywieźć ze sobą co najmniej 1000-1500 koron, gdyż inaczej trzeba wysługiwać się całe życie, a nawet o robotę trudno takiemu, który ani słówka w tutejszej mowie nie rozumie. Również wzmiankowałem w obszerne i mojem piśmie, żeby mi nikt tutaj nie przyjeżdżał bez poprzedniego uwiadomienia mnie i żeby każdy stosował się ściśle do odpowiedzi, jaką otrzyma, gdyż inaczej czeka go gorzki zawód. Szczegóły te oddaję pod rozwagę szczególniej Wielebnym XX. Proboszczom i proszę ich by pod tym względem oświecili ze swojej parafii tych, których już w żaden sposób od wędrówki odwieść nie można.

Dla dokładnego porozumienia się, podaję te dwa nieuniknione warunki dla tych, którzy chcą liczyć na moją pomoc i opiekę:

a) **Nie przyjeżdzać bez poprzedniego porozumienia się ze mną i stosować się ściśle do mej odpowiedzi.**

b) **Nie przyjeżdzać inaczej, jak z 1000-1500 koron gotówki**, gdyż by dostać ziemi na odrobek, trzeba mieć za co kupić pług (80 kr.), przynajmniej 5 koni (po 60 kr. = 300 kr.), bronę (100 kr.), szory do uprzęży (150 kr.), wystawić chałupkę (200 kr.), wybić studnię (100 kr.), zakupić pszenicy do siewu (przynajmniej 200 kr.), co czyni 1130 koron. A tu jeszcze potrzeba na życie przez cały jeden rok. Z takimi zasobami można się osiedlić korzystnie na 50 lub 100 morgach ziemi, inaczej czeka ciężki los.

Tych kilka uwag proszę umieścić jak najprędzej we *Wiadomościach Salezyańskich*, aby tem samem zaoszczędzić mi dużo nieprzyjemności.

X. St. Cynalewski.

II.

Santa Rosa de Toay, 4. maja 1903 r.

Przewielebny Księże Dobrodzieju! (*)

Do uwag wysłanych wczoraj na ręce redaktora *Wiadomości Salezyańskich*, pozwalam sobie niniejszem przesłać jeszcze kilka dalszych objaśnień, i proszę Przewielebnego Księdza Dyrektora o ich ogłoszenie w najbliższym numerze *Wiadomości*.

Niejeden już opłacił nie tylko strasznem rozgoryczeniem ale i chorobą nieroztropne wybranie się w tak daleką podróż bez należytego ubrania, bez pościeli, jakoby chodziło tu tylko o zwykłą wycieczkę majową. Kilku a co dopiero przybyłych ze względu, że wyjeżdzali do południowej Ameryki, wybrali się tak, jak to w Polsce w czasie upału wybiera się lud do kościoła; to też chcąc nie chcąc musiałem im dać dywaników kościelnych do okrycia się w nocy. Dnie są tu po większej części gorące, ale za to noce chłodne. Ażeby zaś utrzymać na ciele pewną równowagę temperatury, należy się w nocy okryć. Prosty nasz ludek nie bierze pod rozwagę tego faktu, że wyjeżdzając z kraju ku południowi, gdzie słońce mocniej dopieka, w drodze do Argentyny przejeżdża i oddala się z przeciwnej strony od równika jeszcze dalej, aniżeli znajdował się w kraju. Argentyna jest ogromnym obszarem, ciągnącym się prawie od równika aż ku biegunowi; mieści zatem w sobie klimat gorący, umiarkowany i zimny, a ten co wyjeżdża z kraju nie wie przecież w jaką okolicę go los rzuci, bo zależy to od tej okoliczności: gdzie w najlepszych warunkach będzie można ziemi nabyć.

Również nie mogę się nadziwić, jak można ruszać w tak daleką podróż z próżnemi rękami i bez grosza w kieszeni. Taka nieroztropność jest wyraźnem kuszeniem Opatrzności i nadużyciem Miłosierdzia Bożego, a następstwa takiej nierozwagi są słuszną karą za taki występek, za takie okrucieństwo nad samym sobą a szczególnie nad rodziną.

Jaki los czeka tych, co tu przyjeżdzają bez odpowiednich zasobów na zagospodarowanie się na kawałku ziemi? Jeżeli to cała rodzina z dziećmi niezdatnemi do pracy, to aż reka wzdryga się na kreślenie smutnego obrazu jej życia. Jeżeli przybysz jest człowiekiem samotnym, łatwiej da sobie radę, lecz gdzie? u kogo? U tych samych **żydów**, o których z takim wstrętem wspominają, że im dokuczali w Galicyi. Są tu całe osady żydowskie założone przez Hirscha z zebranego przeważnie w Polsce żydostwa, kiedyś nędznego, lecz dziś o tyle wzbogaconego na własnej ziemi, że mogą zajmować w pracy około roli kilku lub kilkudziesięciu Polaków, z którymi umieją się jeszcze jako tako rozmówić. I zdaje się, jakoby to leżało w samej naturze rzeczy, że żadna narodowość nie daje się tak żydom wyzyskiwać, jak właśnie nasza. Smutne to stosunki i ażeby temu zapobiedz, trzebaby rozporządzać milionami Hirsza lub Rotszylda. W ten sposób, wyzwalając się od ucisku żydów w Galicyi i puszczając się w podróż do Ameryki bez odpowiednich zasobów na niezależne zagospodarowanie się, przechodzą Polacy z deszczu pod rynnę.

Co dopiero przybyli przywieźli ze sobą polecenie od swego ks. Proboszcza, który mnie prosi, bym ich w mojej parafii zatrzymał, gdyż są to gorliwi katolicy. Owszem czynię to z największą chęcią i zatrzymuję naszych ludzi jak najbliżej siebie, aby im być pomocnym w ciężkich chwilach choćby tylko dobrą radą, skoro mnie na inną pomoc mimo najlepszych chęci, nie stać. Lecz zajęcie dla nich mogłem znaleźć tylko w odległości 60 klm. od mojej siedziby a zatem i od kościoła, chociaż w obrębie mej parafii, która ma obszaru blizko 100.000 klm. kwadratowych. Będą tam pracować dopóty, dopóki nie zarobią przynajmniej 1500 koron i dopiero wtedy osiędą się na kolonii i dostaną ziemi. Nastąpi to dopiero w marcu przyszłego roku.

Może znowu niejednego zapali ta wzmianka, że w stosunkowo tak krótkim czasie można, pracując, zaoszczędzić sobie 1500 koron. Żeby więc i temu złudzeniu przeciwdziałać, dodaję, że biedacy będą musieli pracować z narażeniem ciała i duszy. Z narażeniem ciała, gdyż w tak odludnem oddaleniu gdzież szukać pomocy lekarskiej na wypadek choroby Z narażeniem duszy, bo gdzież tam dostaniesz kapłana, jeżeli słabość przybierze groźniejsze rozmiary?

Zabierając się do podróży na miejsce przeznaczenia, z niepokojem malującym się na twarzy, pytali mnie, czy tam, gdzie jadą, jest kościołek, czy będą mogli uczęszczać w niedzielę i święta

(*) List ten pisany jest do Dyrektora zakładu oświęcimskiego, ks. dra Emanuela Manassero.

na Mszę św. Na stawione mi pytanie, ścisnęło mi się serce z żalu, lecz by ich fałszywą nadzieją nie łudzić, wolałem im prawdę wyznać i powiedzieć, że najbliższym kościołkiem będzie dla nich ten, który dopiero zwiedzili, a najbliższego kapłana będą mieli w mej osobie. Co zaś do niedzieli i świąt, to zapewne ani znać ich będą, gdyż tutejszy lud a przedewszystkiem chlebodawcy, nie chcąc skłonić rąk do pracy a z drugiej strony pragnąc wielkiej fortuny, nie uznają innej uroczystości jak *świętego robotnika*, któremu ich najemnicy są obowiązani składać nieustanny hołd, do tego stopnia, że pomimo 30 dni miesiąca wymagają kapitaliści co najmniej 40 dni pracy. Śmiesznem się to zdaje, a jednak każdy to łatwo pojmie, zważywszy ograniczoną ilość godzin wolnych, których się tutaj robotnikom, szczególnie nowoprzybyłym, udziela.

Takim tonem mowy chciałem przysposobić biedaków na wszelki wypadek, by potem rozgoryczenie ich nie przybrało stopnia rozpaczy. Słuchając moich słów, stali zasmuceni ze spuszczonemi głowami, jakoby na śmierć skazani, zaszkliły im się oczy, westchnęli ciężko, zaszlochali i łzy boleści potoczyły się po ich licach, do niedawna może rozpromienionych rozbujanemi marzeniami o amerykańskim raju. Dodałem im otuchy, zawiesiłem na piersiach medalik Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych i pożegnałem ich, obiecując, że w wycieczkach misyjnych po obszernej mojej parafii i do nich może zawitam. Będzie to dla nich zapewne dzień radości i wesela a dla mnie błogiego zadowolenia, gdyż pośród tych puszcz znajdę kilka serc więcej, które pośród sromotnego zepsucia obyczajów, jakie tutaj panuje, pałają miłością ku Bogu i chwalą Twórcę wszechświata. Twierdzę z całem przekonaniem, że losem tych i tylu innych biedaków kierują niezbadane wyroki Opatrzności. Kto wie, czy ci nieszczęśliwi przerzuceni z jednego krańca ziemi na drugi, nie stanowią w poszczególnych okolicach tę właśnie liczbę dusz sprawiedliwych, jakich Opatrzność potrzebuje, by powstrzymać swą rękę gniewu i kary, wymierzonej tym okolicom, gdzie publicznie bluźni się Bogu i naśmiewa z jego świętych przykazań!

Przypuściwszy jednak, że takie są wyroki Opatrzności względem tych, którzy tu nibyto przypadkiem przybywają, nie należy jednak postępować nieroztropnie i wybierać się w tak odległe strony na łaskę losu, bez żadnych zasobów. Nam tylko głosicielom Królestwa Bożego jest polecone, byśmy w jednej sukni, boso i nie troszcząc się o rzeczy doczesne puszczali się w świat nauczać narody. Lecz ojciec rodziny nietylko o siebie ale i o dziatki troszczyć się powinien a tem samem nie wolno mu wystawiać ich na zgubę, na biedę i nędzę. Każda nieroztropność w tym względzie jest godna kary.

Na podstawie tych uwag *nie mam zamiaru zachęcać do wędrówki* i dlatego przedstawiam rzecz we właściwem świetle, z ponurymi jej odcieniami, i wołam głośno, że kto przyjeżdża z nieco grosza, w stosunkowo krótkim czasie może się wnieść na znośne stanowisko; lecz przyjeżdżający bez odpowiednich zasobów i w niewłaściwym



X. Cynalewski odwiedzający Indyan w Pampa Central.

czasie, naraża się na smutną niedolę.

Czyż można stan rzeczy wyraźniej opisać?

Czyż znajdą się jeszcze ludzie tak nieroztropni i uporczywi, by po przeczytaniu tych uwag w swem postanowieniu trwać chcieli?

Kilka ważnych przestróg. Wybierającym się w podróż należy bacznie uważać, jakim okrętem mają jechać i zastrzedz sobie od zarządu przewozowego wszelką gwarancyę co do utrzymania hygienicznej czystości. Często się bowiem zdarza, że ludziska zarażają się na okręcie pewnemi chorobami, oznaczającemi się podejrzliwymi wyrzutami na całem ciele.

Nie radzę wybierać się w podróż poszczególnym rodzinom każdej z osobna, gdyż w tym razie łatwiej jest uledz jakiemu podstępowi nieuczciwych ludzi. Najlepiej jest podróżować w kompaniach po kilka lub kilkanaście rodzin i pod każdym względem być ostrożnym a nie ufać nieznanym ludziom, chociażby się jak najprzychylniejszymi okazywali.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

**

MISYE SALEZYAŃSKIE

MATTO GROSSO (Brazylia)

Nowa osada misyonarska pośród Indyan Coroados.

(List ks. Jana Balzoli).

Z wielką przyjemnością podajemy do wiadomości naszych drogich Czytelników dwa listy naszego misyonarza ks. Balzoli. Pierwszy mógł już być ogłoszony w jednym z zeszłych numerów lecz uważaliśmy za rzecz stosowniejszą zaczekać na lepsze wiadomości, aby nie wzniecić w sercach naszych Przezacnych Pomocników tego zaniepokojenia względem losów naszych kochanych współbraci, jakiegośmy po przeczytaniu pierwszego listu doznali. Złóżmy dzięki Najśt. Sercu Pana Jezusa za widoczne błogosławieństwa dotychczasowe i zastonówmy się z uwagą nad wzruszającemi słowami biednego dyrektora tej ważnej salezyańskiej stacyi misyjnej.

I.

Pierwsze trudy.

Barreiro (Cuyaba), Osada Najsł.
Serca Jezusowego, 5go czerwca 1902r.

Przewielebny Księże Rua!

Nie udzielam ważnych wiadomości, lecz ponieważ już pięć miesięcy bawimy wśród tych nieskończonych lasów, poczuwam się do obowiązku przesłać najdroższemu Ojcu krótkie sprawozdanie z naszej odludnej osady i prosić o modlitwy do Najświętszego Serca Pana Jezusa, które się dotąd nami tak widocznie opiekowało.

Wyrąbaliśmy już spory kawał lasu i aby grunt leśny zamienić na ogrody, rolę i łąki, wykopaliśmy z niego wszystkie pniaki i korzenie drzew. Z obfitego materyału budowlanego wykonaliśmy własnoręczną pracą części składowe dwóch obszernych budynków drewnianych, które już stoją złożone i liśćmi palmowymi nakryte. Tak powstały w sposób bardzo prosty i bez zaciągnięcia długów dwa domy salezyańskie w Barreiro. W jednej chacie ulokowały się Siostry Najśw. Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych. Druga lubo już jest naszem pomieszkaniem, stoi otworem na wszystkie powiewy wiatru, bo na miejscu drzwi i okien widnieją szerokie otwory, które nocą a w razie potrzeby i podczas dnia zaciągamy skórami wołowemi. Ubóstwo znamionujące całą osadę przebija nawet w kaplicy, która jest częścią naszego pomieszkania, oddzieloną od reszty domu dwiema zasłonami płóciennemi. Na skromniutkim ołtarzyku umieściliśmy statuę Najsł. Serca Pana Jezusa, ale niestety nie możemy tu jeszcze przechowywać Przenajświętszego Sakramentu, bo z powodu ograniczonego miejsca, co wieczór kładę się do snu z ks. Salvetti'm właśnie u stóp tego ołtarzyka. Ta okoliczność, że nie możemy mieć między sobą naszego Boga w Eucharystyi utajonego, jest jedyną naszą przykrością.

Zasialiśmy w tych miesiącach niektóre jarzyny, które po krótkiej uprawie dostarczają

nam już pożywienia. Zaczynamy więc ufać, że na przyszłość nie będziemy się musieli chwytać pewnych przykrych ostateczności, do których nas już kilka razy zmusił zupełny brak żywności.

Pomimo to, najdroższy Ojcze, obecnie niktby z nas twierdzić nie mógł, iż stan jego zdrowia jest normalny. Wszyscy cierpimy, jak mniemam, wskutek tylu ciągłych niedostatków i wielkiej wilgoci, której podlegaliśmy, śpiąc pod lichymi namiotami całe cztery miesiące i to w porze ustawicznych deszczów



Młodzieńcy szczepu Indyan Coroados (Borörös) Matto-Grosso (Brazylia).

Ks. Salvetti skutkiem mocnych reumatyzmów już od kilku dni nie może ustać na nogach. Ale chociaż siły maleją, ciało mdleje i wali się, z wszystkich twarzy bije spokój, miłość, wesołość i zdanie się na Wolę Bożą. Najdroższy Ojcze, nie zapomnij we Mszy św. o tych bladych cieniach, które zamieszkują tę osadę i poleć ich modłom wszystkich naszych Czcigodnych Przełożonych, współbraci i przyjaciół.

A Indyanie? Jeszcze nam ich niebo nie sprowadziło. Kto wspomni na krwawe napady, jakie sobie dopiero zeszłego roku tutejsi Indyanie i niektórzy ucywilizowani wzajemnie wyprawiali, kto wie, jaka żądza zemsty szaleje przez długi przeciąg czasu w sercu dzikusa, kto się zastanowi nad ostateczną nędzą i nad opłakanym stanem, w jakimśmy dotychczas żyli a z którego jeszcześmy dotąd nie wybrnęli, ten łatwo zrozumie, jakiem szczęściem było dla nas, żeśmy się dotąd nie zetknęli z tą dziczą, która sobie rości najniesłuszniejsze pretensye do wszystkiego, co widzi a często nawet do takich rzeczy, których człowiek żadnym sposobem udzielić nie może, dlatego że ich poprostu nie ma.

Z wielką pobożnością odprawialiśmy miesiąc maj, ofiarując codziennie naszej kochanej Matce, Wspomożycielce Wiernych, razem z gorącemi modłami cudne bukiety prześlicznych kwiatów tutejszych łąk i polanek. Z nadejściem miesiąca czerwca nowe myśli zajęły nasz umysł, bo zdaje się, że za nie długo będziemy mieli gości miedzianej barwy. Od dwóch bowiem czy trzech dni widać co wieczór od północy wielkie ognie, które napewno zwiastują zbliżających się indyan. Gdy wiatr gwałtowniej wieje, dym dosięga nawet naszej osady! Jakież będzie to pierwsze spotkanie? Zdaliśmy się zupełnie na Wolę Boską i nie przestaniemy pracować i modlić się.

W nadziei, że wkrótce będę mógł nadesłać inne lepsze nowiny, proszę najdroższego Ojca o błogosławieństwo dla tutejszych synów ks. Bosko. Całuję rączki i kreślę się

najzupełniej oddanym sługą
w Sercu Pana Jezusa
ks. Jan Balzola
Misyonarz salezyański.

II.

Przybycie Indyan.

Barreiro (Cuyabà), Osada Najśl. Serca Jezusowego, 24go sierpnia 1902 r.

Przewielebny i Najdroższy Ojcze!

Cześć i chwała Najświętszemu Sercu Jezusowemu! Przyszliśmy już niemal zupełnie do zdrowia i wogóle wszystko jak najlepiej postępuje. Po siedmiu miesiącach, odkąd pobudzeni miłością Pana naszego Jezusa Chrystusa zapuściliśmy się w głąb tego lasu, aby odnaleźć i zbawić ludzi przez tego samego Boga co my stworzonych i odkupionych — zbliżyło się do naszych chat kilku dzikusów.

Porozmawialiśmy sobie po przyjacielsku, podejmowaliśmy ich u siebie przez dwa dni i przyznać się muszę, że płakaliśmy z radości, widząc ich tak niespodziewanie dobrze usposobionych.

Jak już w ostatnim liście donosiłem, w pierwszych dniach czerwca spostrzegliśmy wielkie ognie na północy, które atoli przez dwa miesiące wydawały się zupełnie nieruchome. Brała nas wprawdzie chętka wyruszyć ku dzikiemu obozowisku lecz przedstawić się dziczy bez darów nie wydawało nam się roztropnem. Aż wreszcie w pierwszych dniach sierpnia zjawiły się od południa inne ognie w mniejszej jeszcze odległości niż pierwsze. Spotkanie się więc z Indyanami było niechybne i wyznać muszę, że wówczas owładnęła moje serce jakaś głęboka niespokojność wewnętrzna, wypływająca z oczekiwania nieszczęścia, jakie nam grozić mogło ze strony tych Indyan, którzy nas niby w dwa ognie wzięli. Podwoiliśmy zatem naszą ufność w Bogu, gotowi będąc położyć, w razie potrzeby, i swe życie dla chwały Jego świętego Imienia.

Dnia 7go sierpnia rano wysłałem jednego z braci po nasze konie pasące się w puszczy. Nie upłynęła godzina, aliści nadbiega on z powrotem, krzycząc radośnie:

— Ojcze! Ojcze!

— A cóż tam?

— Widziałem dwóch Indyan, Ojcze!

— Doskonale! Osiodłaj niezwłocznie dwa konie, bo pojedziesz natychmiast z innym braciszkiem ku siedlisku Indyan na zwiady. Rozglądajcie się pilnie, jedźcie ostróżnie i badajcie wszystko, co nas obchodzić może.

Tak się stało. Wrócili nad schyłkiem dnia, donosząc, że w odległości kilku godzin drogi, w największej gęstwinie leśnej, stoi obozem masa Indyan, którzy wyprawiają t. zw. *bacururu*, t. j. krzyczą, śpiewają, tańczą i hałasują, że szeroko po lesie rozlega się odgłos ich harmidru.

Spotkanie więc było nieuniknione. Owej nocy spałem bardzo mało, z powodu gwałtownego bicia serca, a nazajutrz przebudziłem się z jakąś miłą nadzieją, że misya nasza weźmie pomyślny obrót i przyniesie pocieszające owoce. Poleciwszy się gorąco Najsł. Sercu Pana Jezusa i Matce Boskiej, Wspomożycielce Wiernych, kazałem okulbaczyć trzy konie, postanowiłem bowiem zakraść się pod obozowisko w towarzystwie dwóch braci, aby się naocznie przekonać, z jakiem usposobieniem się Indyanie do nas zbliżają. Gdybym zastał umysły spokojne, byłbym się wdał z nimi w rozmowę. Było to właśnie w piątek, 8go sierpnia, i byłem pewny, że Najsł. Serce Pana Jezusa nie odmówi nam swej pomocy.

I w rzeczy samej już wszystko było do podróży przygotowane, kiedy po za domem ktoś zakrzyknął na całe gardło: „Ojcze! Indyanie! Indyanie!“ Pędzę tam, skąd mnie głos doszedł, i widzę pięciu barczystych dzikusów, którzy się przybliżają, wołając: „*Borörös bon! Borörös ban!* (t. j. jesteśmy dobrymi Borörösami).

Nie umiem określić uczuć, których w tej chwili doznałem. Przybliżyłem się do nich z uśmiechem na ustach i powitałem ich jak najserdeczniej. Moi współbracia wybiegli tymczasem z chaty i widząc nasze wzajemne uściski, zaczęli płakać z radości. Najsłodsze Serce Pana Jezusa i Matka Boska, Wspomożycielka Wiernych, nie mogli nam wyświadczyć większego dobrodziejstwa.

Dwa dni zatrzymali się u nas Indyanie, od których się oderwać nie mogłem. Wyłożyłem im cel naszego przybycia, zapewniłem ich, że pod naszą opieką nikt im nie wyrządzi najmniejszej przykrości, polecałem im, by porzucili swe barbarzyńskie zwyczaje, mowiłem im o Bogu i naszym Zbawicielu, jednem słowem, prowadziliśmy rozmowę o tylu i tak różnych rzeczach, jak gdybyśmy byli dawnymi przyjaciółmi. W sobotę odprawiłem w ich obecności Mszę św. a następnie objaśniłem im niektóre obrzędy i zauważyłem, że wielkie na nich wywarły wrażenie obrazy, jakie im do oglądania przedłożyłem, mianowicie sąd ostateczny, śmierć sprawiedliwego i grzesznika. Śliczne figury Aniołów budziły w nich szczególniejszy podziw i widać było, że w ich duszy powstawały jakieś nowe, święte uczucia.

Pierwsze ziarno zostało rzucone a mamy nadzieję w Bogu, że stokrotne przyniesie owoce. Przed odjazdem przyobiecali przybyć po dwóch miesiącach z innymi ludźmi dla zbudowania chat, do których później sprowadzą swe rodziny. Jeden z nich był kacykiem. Otrzymawszy niektóre drobne upominki, trzech wyruszyło w kierunku południowym a dwóch podążyło ku północy, by zawiadomić swych ziomków o osiedleniu się Ojców.

Zaraz po ich odejściu posłałem gońca do stacyi telegraficznej (która jest o 40 kilometrów oddalona od naszej osady i stanowi jedyny znak cywilizacyi w tych puszczach), by temi wiadomościami wybawić od niepokoju drogich współbraci w Cuyabà, a szczególnie naszego inspektora ks. Malana, którego oczekujemy z świeżymi zapasami żywności i darów. Biada, gdyby on do października nie mógł przybyć! Indyanie do tej pory przybędą, a kto wie, ilu ich będzie i jakie



Typ szczepu Borörös Matto-Grosso (Brazylia).

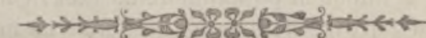
będą mieć wymagania! Co sobie wtedy z nimi poczniemy, jeżeli nie będziemy mieli wielkiego zapasu upominków?

Przed końcem niniejszego listu pragnę wyjawić, najdroższy Ojcze, niektóre niepokoje. Rozpoczęliśmy już budowę chat dla Indyan, lecz cóż poczniemy, jeżeli nie będziemy mieli liczniejszego personalu i środków materyalnych, by wspomódz tylu nieszczęśliwych? Któż mi da jaki łachman, by okryć tyle zupełnie nagich rodzin? *Deus providebit!* to prawda, lecz i Ty, najdroższy Ojcze, zlituj się nad nami, ulotnij się choć duchem z Turynu, odwiedź nas w tej niezmiernej puszczy, byś mógł mieć choć słabe wyobrażenie o naszych potrzebach. Poleć dobroci i modłom naszych przezacnych Pomocników tę początkującą misyę, ażeby naprawdę i rychło przyniosła obfite i błogie owoce. Takie było życzenie Ojca św. Leona XIII, kiedy udzielał błogosławieństwa mnie i trzem Coroadosom, których mu przed trzema laty przedstawiłem. Dałby Bóg, abyśmy za kilka lat mogli ujrzeć wszystkie tutejsze plemiona klęczące przed statuą Najsłodszego Serca Jezusowego i dziękujące Mu za łaskę nawrócenia. Niech to przedsięwzięcie pociąga za sobą jakiebądź trudy: my dołożymy wszelkich starań a jeżeli zajdzie potrzeba, to i życie chętnie poświęcimy celem urzeczywistnienia tych zamiarów. Lecz niech nam żaden z Pomocników nie odmawia pomocy duchownej a zamożniejsi niechaj nam nie skąpią datków dobroczynnych. O! jak wielką radość sprawią nam kiedyś te czyny przed obliczem sprawiedliwego Sędziego!

Najdroższy Ojcze, racz przyjąć wyrazy naszego szacunku i miłości synowskiej.

Najprzywiązańszy syn *in Corde Jesu*

ks. Jan Balzola,
Misyonarz salezyański.



PRZEZ EKWATOR.

(Ciąg dalszy)

Wrażenia z podróży.

Lokomotywa.

Dnia 30go czerwca, wczesnym rankiem wsiedliśmy na ładny parowiec, który nas przewiózł na drugą stronę rzeki, oblaną złotymi promieniami wschodzącego słońca. Tu na stacyi Duran oczekiwał nas pociąg, w którym mieliśmy przebyć pierwszy pieszy dzień naszej podróży po stałym lądzie.

Jazda wygodna; przyroda wspaniała, zachwycająca.

Aż do południa lokomotywa nie biegnie ale zdaje się, że wśrod nieprzerwanej leśnej przestrzeni pędzi na zdobycze cywilizacyjne, mknąc pod tunelem bujnej zieleni, który się raz niby pochyla a raz rozszerza, jakby jej chciał ułatwić przejście. Kolej żelazna na całej swej długości zakreśla trzy czy cztery linie proste, łatwo więc podziwiać i fantastyczne

ubarwienie, który na kształt kolorowej koronki pokrywa tu i ówdzie gąszcz leśną, i gaje trzciny bambusowej i grube, wielkie rozłożyste olbrzymy leśne. Tu z najwyższych wierzchołków zwieszające się liny tworzą wzdłuż drogi zielone festony, tam zbite razem w wielkiej kiści czynią wrażenie ruchomych stalaktytów. Od czasu do czasu las rzednieje i wtedy roztwiera jakoby okno na piękny błękit nieba, na ciągnące się w dali pola bananów i trzciny cukrowej, na wysmukłe palmy, na plantacye kakao, kawy, bawełny lub szafranu; gdzieniegdzie zabłyszczy zwierciadło leniwie rozlewającej się rzeki, gdzieniegdzie ukaże się mała wioszczyna o domkach z trzciny, krytych słomą a wspartych na wysokich pniach, zabezpieczających je od wilgoci, wylewów i wężów.

Po czterech godzinach takiego kaleidoskopu coraz to nowych piękności, lokomotywa, sapiąc, pnie się coraz bardziej w górę. Z gaiku, który się ciągnie wdłuż toru, dolatuje powiew, który nie jest tropikalny, ale przeciwnie staje się coraz chłodniejszy. Wreszcie około godziny 3ej dochodzi nas szum spadającej z impetem po kamieniach rzeki Chimbo. Nad jej brzegiem kolej wchodzi na nowe tory; przesiadamy się do innych wagonów i pędzimy dalej. Chimbo z Chanchalem i okalającemi je nagiemi skałami, to potężne przeszkody, z któremi musiała walczyć zdobywcza siła pary. Doliny i spadziste stoki, przepaści bezdenne i strome skały i szkarpy kamienne: wszystko to jakoby się zmówiło, ażeby zapędy ludzkiego geniuszu udaremnić, to więżąc maszynę w ciasnych paszczach głazów, to przerzucając nią ponad straszne przepaści, to unosząc ponad szumiące wody, to zmuszając do spiralnego krecenia się po spadzistym grzbiecie góry. Lokomotywa tymczasem drżąc, sapiąc, rycząc, dudni po skałach, wyrzucając z siebie gęste słupy dymu, które zasłaniają przepaści i śle w dal przewlekły świst, odbijający się chem o górskie stoki. Dwie godziny takiej tetanicznej walki uwieńczone są wreszcie zwycięstwem unoszącej nas pary.

Quigra.

Quigra jest ostatnią a dotąd jedyną stacyą nowej linii. Wychodzimy z wagonu nieco zakłopotani i rozglądamy się wokoło. Znajdujemy się wśród szerokiej i pustej doliny. Na prawo i lewo, z tyłu i z przodu gołe stoki, obnażone góry i ciasne przesmyki; z jednego boku szumiący potok. Mrowisko ludzi białych i Indyan: wszystko to w ruchu, wszystko się krząta, spieszy, nadnosi lub dogląda pakunków, daje lub odbiera rozkazy. Około stu namiotów polnych stoi rozrzuconych tu i ówdzie, jak w obozie; oprócz stacyi jeden tylko domek jest drewniany. Wszystko to razem wzięte stanowi Quigrę, miejscowość, która po dwóch miesiącach istnienia jest już zawiązkiem miasta a stanie się niebawem środowiskiem licznych kolei żelaznych.



Kacyk (naczelnik) plemienia Indyan Caroados (Bororös) Matto-Grosso (Brazylia).

Chłód wieczorny a przytem mało zachęcający nas wygląd tych ludzi utwierdzają nas w postanowieniu ruszenia ku Guatazi, gdzieby nas pewien poczciwy Pomocnik ugościł. Ale czas ucieka, wybija piąta, słonko zabarwia już na różowo szczyty, na które pada cień zachodu. Nasi towarzysze podróży rozpierzchli się, szukając tego, coby im najlepiej dogodziło. I nam trzeba o tem pomyśleć, a przedewszystkiem musimy sobie

wyszukać jakiego konia, osła lub muła, słowem jakieś stworzenie, któreby się dało dosiąść i popędzić! Mamy list polecający od urzędu kolejowego w Guayaquil pisany po angielsku, ponieważ wszyscy ci ludzie z wyjątkiem przelotnie zatrudnionych Indyan, są urzędnikami Spółki a pochodzą bądź z Anglii, bądź ze Stanów Zjednoczonych. Gdzież jest naczelnik stacyi? Oto w biurze, tak zajęty przeliczaniem, kontrolowaniem, rozdawaniem i odbieraniem, że trudno się do niego dogadać.

—„Hej proszę Pana!... Bądźże pan łaskaw!... Widzisz pan przecie, że już późno, że już noc nadchodzi; zlituj się pan, wysłuchaj jedną prośbę, rzeknij jedno słówko, w jakimkolwiek języku, po włosku, niemiecku, łacinie, francusku, grecku, arabsku!...“

—„Zaraz, panowie“ — i potakując zwieszoną głową przelicza dalej, przegląda, odbiera, rozdaje i przekłada z jednego miejsca na drugie stosy pakietów i pakiecików, papierów i recepisów. Wreszcie coraz to natarczywsze nacierania gości zmusza go do podniesienia oczu; bierze list polecający, rozkłada go, czyta i milcząc, bez giestu nawet, zwraca nam go i znowu liczy i przekłada...

„Dobranoc! *Buona notte! Bonne nuit! Buenas noches! Good night! Gute Nacht!* łaskawy Panie! bądź pan zdrów!...“

Szukamy kogo innego, ale tu wszystko po jednych pieniądzach! Wszyscy jakby się zmówli, bo ani po hiszpańsku nie umieją, ani też żadnego innego języka zrozumieć nie chcą, odpowiadając tylko: „*Me non intendare.*“ Już nawet o osłach niema co myśleć; słonce już za górami zniknęło i osły zapewne na tyleby nam się przydały, co i ludzie.

Kapitan.

—„Ojcze, Ojcze!“ Słowo to rozjaśnia nagle nasz ciemny horyzont.

—„Czy mnie Ojciec nie poznaje?“

—„Owszem poznaję. Nie jesteś Hyacentem Flores, naszym dawnym wychowankiem w Quito? Ale jakżeś wyrósł! A te wąsy! Te galony! Dla Boga! Toś ty wyszedł na jakąś grubą figurę?!“

—„Jestem kapitanem żandarmeryi.“

—„A zatem, panie kapitanie, jakaż twoja władza w tej miejscowości!“

—„Najwyższa po naczelniku, ale obecnie pierwsza, bo naczelnik wyjechał.“

—„Kiedy tak, to wydobądź nas z kłopotu. Chcemy jechać dalej do Quatazi i radzibyśmy się tam dostać na jakiej bestyi, bo jak nie to chyba na konikach św. Franciszka.“

—„O tej porze koni?“ pyta wytrzeszczając na nas oczy. „To tak, jak gdyby się Wam zachciało skrzydeł. A pieszo, to rzecz wprost niebezpieczna. Słuchajcie! Niema innej rady, jak spędzić noc tu w Quigra. Jutro rano znajdzie się wszystko.“

—„Ale gdzież przenocować, kiedy tu tak zimno?“

—„Nie bójcie się. Są tu liczne hotele, gdzie dostaniecie dobrą kolacyę. A co się tyczy mieszkania, to mam klucze od różnych domów, które wprawdzie nie do mnie należą, ale które mam prawo wynajmywać porządniejszym osobom. Tymczasem chodźcie do jednego pana, który Wam chętnie przechowa kufry i w niejednem Wam się przyda, bo to człowiek wpływowy a dobry.“



Dzieci szczepu Coroados (Borōrōs)
Matto-Grosso (Brazylia).

Idziemy tedy z rezygnacyą za naszym opatrznościowym opiekunem, najprzód do owego wpływowego pana, a następnie do hotelu. Jest to namiot, jak wszystkie inne, z białego płótna, jakby na koszule, a składa się z dwóch przedziałów. W jednym stoi szafa z napojami i przekąskami oraz stoliczek dla gości; w drugim kuchnia i zarazem mieszkanie właściciela i całej jego rodziny.

Usiedliśmy, jak się dało, przy stole; kolacya nie była wykwintna, ale wygłodzone żołądki podróżujących i z takiej były rade. Tylko nasz ks. biskup poprzestał na dwóch jajach.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).





Wielkiem wsparciem, mocnym orężem przeciwko zasadzkom szatańskim znajdziecie, drodzy młodzieńcy, w nabożeństwie do Najświętszej Panny. Słuchajcie jak ona Was przywołuje: *Si quis est parvulus, veniat ad me.* kto maluczki, niech do Mnie przychodzi. A zatem dziecko niech do Mnie przychodzi; opuszczony niech się do Mnie ucieka a znajdzie we mnie miłującą matkę, która staraniem go otoczy. Miłujcie zatem tę waszą Matkę, z głębi serca do Niej się uciekajcie i bądźcie pewni, że łaski, o które Ją prosić będziecie otrzymacie, bylebyście nie prosili o co ze szkodą własnej duszy.

Ks. Bosko.

Wdzięczność matki.

Córka nasza jedynaczka chorowała bardzo na szkarlatynę, dyfteryę i zapalenie nerek. Siedm tygodni wyleżała i tylko Sercu Jezusowemu i Matce Najśw., Wspomożycielce Wiernych, zawdzięczamy, że to dziecko przyszło do zdrowia. Trzeci rok liczy to dziecko, ale starzy mogliby się zbudować jego religijnością i wiarą w Matkę Najświętszą. Przez całą chorobę dziecko miało w łóżku przy sobie figurkę Najśw. Panny i obrazek na szkle; dopóki było przytomne, prosiło o zdrowie. Gdy już dyfterya owładnęła dziecko, że oddychać ani mowić nie mogło, już na te cierpienia ani patrzeć nie można było. Później Matka Najśw. dała, że ta choroba się przerwała a pierwsze słowa, jakie dziecko przemówiło do mnie, były: „Mamo, podziękuj Boziuni, bo Boziunia dała zdrowie Janci." — Jednak nie na tem koniec. Nastąpiło zapalenie nerek a przy tem konwulsye dziecko raz miało. Przed tym gwałtownym napadem trzymało figurkę Matki Najświętszej, którą jej potem z rąk wyjęłam. Już się zdawało, że dziecko kończy życie, gdy tymczasem ono zrywa się i woła: „Mamo, gdzie moja Boziunia?" Odtąd zaczęło się polepszać. Doktorzy zawsze mówili, że to cud bedzie, jeśli to dziecko przetrzyma tyle chorób i dlatego zawsze się z wiarą o pomoc tylko do Matki Najświętszej udawałam, wiedząc, że sztuka lekarska nie może nic pomódz. Matce Najśw., Wspomożycielce Wiernych, składam publicznie za tę wielką łaskę podziękowanie. Dziecko już chodzi i powraca do zdrowia.

Iskrzynia (Galicya), w maju 1903 r.

Walerya Bałowska,
nauczycielka.

***

Marya uzdrawia chorego.

Tysiączne cuda zdziałane za przyczyną Najśw. Maryi P., Wspomożenia Wiernych, o których zawsze z zajęciem czytam we *Wiadomościach Salezyańskich*, wzbudziły we mnie żywą pobożność i wielkie zaufanie ku łaskawości Najśw. Królowej Niebieskiej. To też gdy się zdarzyło, że mąż mój, cierpiący na zdradliwą chorobę sercową, był w wielkiem niebezpieczeństwie utraty życia, z całą ufnością

udałam się wtedy o pomoc do Najświętszej Panny Maryi, a to za pośrednictwem nowenny, którą odmawiałam sama i poleciłam odmawiać mężowi i służącej. I już od pierwszego dnia nowenny nastąpiło polepszenie, bo czyż mogło być, aby Marya opuściła tego, który się do Niej z ufnością ucieka? Słusznie twierdzi św. Bernard, że nigdy o tem nie słyszano. I ja niegodna doznałam od Maryi pocieszenia, o czem z wielką radością we *Wiadomościach Salezyańskich* wspominam i za co publiczne składam dzięki Najśw. Pannie. Przesyłam skromną ofiarę na cele kościoła i zakładu salezyańskiego w Oświęcimiu i błagam o pobożne westchnienie na moją intencyę.

Juszczyn (Galicya), 4go maja 1903.

MARYA TWORZYDŁOWA.

***

Marya Pocieszycielką strapionych.

Z sercem pełnem wdzięczności składam Najśw. Pannie Maryi, Wspomożycielce Wiernych, publiczne podziękowanie za otrzymane łaski a mianowicie:

1). W roku 1902 zachorowała moja żona na t. zw. ciężką niemoc. Więc udałem się do Najśw. Panny Maryi, Wspomożycielki Wiernych, w Turynie, poprosiłem o Mszę św. i zamówiłem nowennę. Ach cudo! jeszcze pieniądze nie doszły, a żonie mojej niemoc ta ustępowała.

2) Przed paru tygodniami posłałem do Was, Przewielebni Ojcowie, małą ofiarę (4 kr.), z prośbą o odprawienie nowenny do Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, na intencyę przemienienia losu. I znowu nim jeszcze pieniądze doszły, otrzymałem wiadomość, że dostanę się na leśniczego, chociaż muszę czekać jeszcze aż do 1go kwietnia 1904.

Cierpisz (Galicya), 23. maja 1903.

JÓZEF WILCZEK,
podleśniczy.

***

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Adela Lindnerowa, *Jaworów* (Galicya); Salomea Keller, *Przemyśl* (Galicya); H. Siedlikowski, *Wieliczka* (Galicya); Józef Sobań, *Niebylec* (Galicya); Familia Dobrosłańska, *Tadań* (Galicya); Jakób Kras, *Brań* (Galicya); Amelia Stotołowiczówna, *Michalewice* (Galicya); Franciszek Pająk, *Brzeście* (Górny Śląsk); Jan Bartunek, c. k. profesor gimn., *Rzeszów* (Galicya); Augustyna Wagner, *Brzezakowa* (Galicya); Helena Płoszczańska, *Stanisławów* (Galicya); Ludwika Hundsdorf, *Bydgoszcz* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Konstancya Zgoda, *Pelplin* (Prusy Zachodnie); Franciszek Staniecki, *Jałusz* (Galicya); J. Białecki, *Obersitzko* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Jan Treder, *Recków* (Pomorze); Piotr i Tekla Strauc, *Piaski* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Paweł Pietryka, *Thorndike* (Stany Zjednoczone); Weronika Marasikówna, *Kraków* (Galicya); Marceli Szymanowski, *Turew* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Jan i Anna Grzegorzewscy, *Chicago* (Stany Zjednoczone); J. Płońska, *Krysowice* (Galicya); Hipolita Wilhelmowa, *Milatyn nowy* (Galicya); Antonina Baranowska, *Stramnice* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Ignacy Michalina, *Turówka* (Galicya); Wincenta Marcinek, *Szardziny* (Górny Śląsk); Jan i Julianna Dziamborowie, *Ruda* (Górny Śląsk); Antonina Kamińska, *Chicago* (Stany Zjednoczone); Stanisława Plensler (Poznań); Tomasz Andrzejewski, *Krobia* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Julian Zaremski, *Linowice* (Prusy Zachodnie); Stefan Bartoszewicz, *Buffalo* (Stany Zjednoczone); Rozalia Roter, *Szarlej* (Górny Śląsk); Franciszek Rzytki, *Kornitz* (Górny Śląsk); Jan Dyaczyński, *Przeworsk* (Galicya); Ludwik Remer, *Krosno* (Galicya); Paulina Łukasiewicz, *Helenków* (Galicya); Mikołaj Literowicz, *Czarnokońce wielkie* (Galicya); Wojciech Cichocki, *Donatowo* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Franciszka Urbańska, *Osiek* (Galicya); Antoni Pawełek, *Żywiec* (Galicya); Marya Pergałowska, *Nowa Praga* (Królestwo Polskie); Jacek Wąsik, *Zawada* (Górny Śląsk); Grzegorz Wywioł, *Halemba* (Górny Śląsk); Bronisław Śmielecki, *Krzyż* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Rozalia Prusakowa, *Wadowice* (Galicya); Piotr Ludyga, *Brzezowice* (Górny Śląsk); Jan Swoboda, *Gąsiorowice* (Górny Śląsk); Teodora Szafrańska, *Śrem* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Stefan Knic, *Stargard* (Pomorze); Andrzej i Katarzyna Wleklińscy, *Krobia* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Joanna Maszczyk, *Szopinice* (Górny Śląsk); Joanna Kuśnizius, *Ruda* (Górny Śląsk); Józef Meyer, *Czechozin* (Prusy Zachodnie); Wincenty Wawrzynek, *Jaborowitz* (Górny Śląsk); Fr. Wiluszyński, *Tarnawa niżna* (Górny Śląsk); Walenty Wisiołek, *Kumorze* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Władysław Wołnowski, *Philadelphia* (Stany Zjednoczone).

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść pisma niniejszego wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim cudom i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo*

Redakcya.



KRONIKA SALEZYAŃSKA

EUROPA.

OŚWIĘCIM. — *a*) Co roku zwykli byli XX. Salezyanie przenosić uroczystość Najświętszej Wspomożycielki Wiernych na pierwszą niedzielę po 24tym maja, aby w ten sposób okolicznemu ludowi naszemu ułatwić udział w święcie. Tegoroczna uroczystość zaznaczyła się wyjątkowym napływem uczestników, co przypisać należy różnym okolicznościom a mianowicie temu, że święto przypadło na samą niedzielę i że wielu Pomocników nie mogąc sie udać do Turynu na koronacyę obrazu Wspomożycielki Wiernych, chciało złożyć Jej hołd i dziękczynienie na miejscu Jej przyszłej świątyni w Oświęcimiu. Pogodne niebo, roztaczająca się wokoło zieloność upstrzona różnobarwnem kwieciem, leniwe obłoczki, ścigające się po firmamencie i odwracające od ziemi nadmiar ciepła słonecznego, wszystko pobudzało do czczenia Najśw. Panny w Jej pięknym miesiącu. Już od wczesnego ranku ruiny kościoła podominikańskiego zaczęły się zapełniać ludem. Od 5 ½ odprawiały się co godzina Msze św. podczas których bardzo wielu przystępowało do Stołu Pańskiego, skorzystawszy ze znacznej liczby spowiedników.

O godzinie 8 ½ ks. Teodor Kurpisz, prefekt zakładu ks. Boski, wygłosił mowę do Pomocników salezyańskich, rozwodząc się nad ich wzniosłem posłannictwem. Około wpół do jedenastej przybyła procesya z kościoła parafialnego i po wystawieniu Najśw. Sakramentu Przew. ks. kan. Szałaśny, proboszcz oświęcimski, wyszedł ze sumą. Kazanie o Wspomożycielce Wiernych miał Przew. ks. Gwardyan OO. Reformatów w Kętach.

W dniu tym zakładowy chór śpiewacki złożył nowy dowód swego postępu. Wykonanie z orkiestrą smyczkową mszy Tavoni'ego świadczy bardzo pochlebnie o tej szkole śpiewu. Ten najnowszy trzygłosowy utwór szkoły rzymskiej, o skromnych figurach i prostych motywach, a oparty o wielkie tradycye rzymskie, jest jakby umyślnie napisany dla zakładów, posiadających znaczniejsze siły chóralne. Wykonany z towarzyszeniem orkiestry rzniętej nabiera bardzo pięknego, kolorytu i efektu. Nie brakło także w czasie nabożeństwa przegrywek orkiestry dętej, która prócz tego w godzinach popołudniowych rozweselała ludność, która się gromadnie koło zakładu poschodziła.

Przezacni Pomocnicy mieli sposobność oglądać roboty około ruin podjęte, które jednak dla braku środków materyalnych nie mogą postępować tak raźno, jakby sobie tego wszyscy życzyli. Dałby Bóg, aby na przyszły rok na tę uroczystość lud nie musiał być narażony na łaskę i niełaskę czasu, lecz by się mógł spokojnie modlić do Najświętszej Wspomożycielki Wiernych, mając nad sobą nie niebo pogodne lub zachmurzone, ale piękne, gotyckie sklepienie. *Fiat! Fiat!*

b) We lwowskiej *Gazecie Narodowej*, z dnia 23go maja b. r., czytamy co następuje: „Sztab generalny w Galicyi. — Od dnia 15 do 19 b. m. bawili w Oświęcimiu członkowie generalnego sztabu austryackiego z br. Beckiem na czele. Przybywszy z Wiednia, zawitali da zakładu salezyańskiego, gdzie się stołowali i gdzie od młodzieży i kapeli zakładowej doznali bardzo miłego przyjęcia. Po obiedzie oglądali ruiny podominikańskie, zwiedzali cały zakład i wypytywali się szczegółowo o jego wewnętrznym ustroju. Przy ostatniej uczcie br. Beck dziękował XX. Salezyanom imieniem sztabu za wspaniałe przyjęcie i gościnność i oświadczył, że przy zwiedzaniu zakładu wniknął w jego ducha i przyszedł do przekonania, iż ta młodzież tak żywa i wesoła pod takim zarządem nauczy się unikać zgubnych

wpływów socyalistycznych i stanie się podporą społeczeństwa i chlubą swego kraju. W dowód wdzięczności obiecał poprzeć sprawę zakładu u cesarza. Dnia 19 b. m. sztab opuścił Oświęcim i podążył do Kęt, skąd po trzech dniach wyruszy do Białej.

c) Z listu naszego gorliwego Pomocnika i Zelatora p. Jakóba Cholewy z Sierczy (Galicya), przepisujemy dla przykładu następujące wiadomości: „Proszę przyjąć na cele zakładowe ofiarę 29,30 koron, którąśmy złożyli 24go maja, w dzień Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, na naszem zgromadzeniu, zagajonem w domu prywatnem przez Wielebnego księdza Bartłomieja Kutka z Wieliczki, który się tak gorliwie tutaj nami zajmuje. Ks. Kutek odprawił nam rano wotywę a po południu po odśpiewaniu cząstki różańca świętego odmówił litanię i modlitwę do Najśw. Wspomożycielki Wiernych, poczem miał gorącą przemowę o działalności księży Salezyanów. Mówił wiele osobliwie o księdzu Bosko i o niektórych cudach i łaskach zdziałanych przez P. Boga w Turynie i na całym świecie za wstawiennictwem Wspomożycielki Wiernych. Później, odłożywszy stułę, porozmawiał dosyć długo z nami a ja przez ten czas zbierałem składkę...

Dziękując Wielebnemu X. Kutkowi za gorliwość, z jaką kieruje ruchem salezyańskim we Wieliczce i okolicy, pragniemy przy tej sposobności wynurzyć naszą wdzięczność szczególnie tym osobom, które czy to testamentem czy na sposób zwykłej ofiary wspomagają zakład oświęcimski niekiedy hojnemi kwotami. Tak n. p. otrzymaliśmy od pewnego Wielebnego księdza z Wielkiego Księstwa Poznańskiego 500 marek i list następującej treści: „Z polecenia osoby, która nie chce być wymieniona, przesyłam dla zakładu ks. Bosko w Oświęcimiu 500 marek z prośbą o modlitwę za ofiarodawcę.“ Kto tak swym majątkiem szafuje, może, umierając, powiedzieć z pewnym bardzo szczodrobliwym obywatelem lwowskim, zmarłym 1889 r.: „Gdybym chciał, byłbym trzy razy większy majątek mógł zostawić po sobie. Ale człowiek nie na to żyje, aby zbierał majątek, tylko aby dobrze czynił. Bogactwa są złotym kluczem do nieba, ale ponieważ złoto jest kruche, trzeba otwierać ostrożnie, bo inaczej mógłby się klucz złamać i człowiek musiałby zostać za drzwiami.“

BARCELONA (Hiszpania). — W kilka lat po osiedleniu się księży Salezyanów w Barcelonie, grono wybitniejszych osobistości miejscowych ofiarowało księdzu Bosko szczyt góry, zwanej *Tibidabo*, aby tam wzniósł kościołek na cześć Najsł. Serca Boskiego. Powstała kapliczka, ale Czcigodny Założyciel nie był z niej zadowolony, twierdząc, że tam należało wybudować wspaniałą świątynię, na cześć Najsłodszego Serca. I oto obecnie po tyluletniej przerwie księża Salezyanie, ufni w pomoc Bożą i ludzką, przystępują do urzeczywistnienia życzeń księdza Bosko. Rysunek kolosalnego kościoła został opracowany przez architekta Henryka Sagnier. Podstawową formą kościoła jest krzyż grecki. Nad wysoką kopułą błyszczeć będzie pozłacana figura Boskiego Serca. Ramiona krzyżowe kończyć się będą czterema wieżycami o 40to metrowej wysokości. Ozdobny portyk okrążać będzie całą monumentalną budowę, która pozostanie na zawsze pięknym pomnikiem rozwiniętego gotycyzmu.

W jedną z niedziel kwietniowych dokonano ze wszystkiemi formalnościami obrzędu położenia kamienia węgielnego. O tem święcie, o licznych tłumach uczestników, o śpiewach 400 wychowanków salezyańskich, rozpisywały się obszernie nie tylko gazety hiszpańskie ale i portugalskie. — Zbożnemu dziełu życzymy obfitego błogosławieństwa Bożego.

AMERYKA.

BUENOS AIRES (Argentyna). — Nasz drogi współbrat, ks. Linus Carbajal, który sześciotomowem i bardzo cennem dziełem o Patagonii zdobył sobie uznanie całego świata naukowego, chcąc swe studya uzupełnić, pragnie poczynić wielkie badanie na południowych kresach Patagonii. Ogłaszamy na tem miejscu dokument wydany przez prezydenta rzplitej argentyńskiej, J. Ekscel. Jenerała Rocca, którym wspomnianemu księdzu przyznaje w tych celach naukowych znaczną subwencyę.

Buenos Aires, 17go stycznia 1903 r.

Zważywszy że Wielebny ksiądz Linus Carbajal wniósł do rządu podanie o wsparcie, celem uzupełnienia swego dzieła o Patagonii przez dokładniejsze zbadanie południowych obszarów rzeczypospolitej, i że w szczególności jego zamiarem jest stwierdzić możliwość zaprowadzenia tamże pasterstwa i hodowli bydła oraz zasięgnąć wyczerpujących wiadomości co do ilości i jakości dróg, co do stanu warunków handlowych, stosunków majątków, opieki nad tubylcami, fachowego badania lasów i t. d.,

Presydent rzeczypospolitej
dekretuje:

Artykuł I. By Wielebnemu księdzu Linusowi Carbajal udzielono subwencyę 3000 pesos, aby się mógł udać do terytoryów południowych i rozpocząć swe studya nad powyższymi punktami.

Artykuł II. By wymienioną kwotę wypłaciła Dyrekcya Ziem i Kolonii z funduszów przeznaczonych na badanie kraju.

Artykuł III. By Ministerya Spraw Wewnętrznych i Wojny zarządziły, aby gubernatorowie

terrytoryów i komendanci załóg ułatwiali ks. Carbajal wykonania jego zadania.

Artykuł IV. By niniejszy dekret opublikowano.

Rocca, prezydent rzeczypospolitej.

LA PLATA (Argentyna). — Ks. Jan Janinetti, dyrektor kollegium salezyańskiego w La Plata, pisze do Najprzew. ks. Rua: „Cudownem możnaby nazwać powstanie naszej świątyni Najsł. Serca Jezusowego, jeżeli się weźmie na uwagę wyjątkowe okoliczności i przeszkody, które pokonywać należało. A i obecnie błogosławieństwo Boże widocznie nas wspiera, bo jak wystawiliśmy ten wielki kościół mimo zupełnego braku funduszów i mimo niezwykłej biedy, która tutejsze okolice nawiedziła, tak i obecnie zdobywamy się w niewytłómaczony sposób na wszystko, czego godność kościoła i wspaniałość obrzędów wymaga. Wielkie tłumy wiernych uczęszczających na nabożeństwa i kazania są najwymowniejszem stwierdzeniem potrzeby i opatrznościowości tego kościoła. Po prawej stronie ołtarza, w umyślnie na ten cel przygotowanej kaplicy, mieszczą się chłopcy zakładowi, którzy tam mogą mieć udział w nabożeństwach a nie są wystawieni na widok publiczności.

Zakład udziela wychowania 270 chłopcom, a mógłby mieścić 350, gdybyśmy rozporządzali większemi siłami wychowawczemi. Cała praca leży na barkach 5 kleryków i 4 księży, którzy w dodatku pełnią obsługę duchowną w bardzo rozwiniętym zakładzie żeńskim, kierowanym przez Siostry Najśw. Wspomożycielki Wiernych. Wyznaję Przewielebnemu Ojcu, że od jakiegoś czasu odczuwamy nadmiar pracy i dlatego proszę pokornie o wzmocnienie tutejszego domu świeżemi siłami. Już od czterech lat błagam bodaj o jednego braciszka i jeszcze mej prośby nie uwzględniono, bo ks. inspektor nie znajduje po innych domach ani jednego, któryby tam był niejako zbyteczny i któregoby do nas mógł przysłać.

Pracujemy zatem z wytężeniem sił i P. Bóg nam błogosławi.“

DAWSON (Patagonia południowa). — Nasz ks. M. Borgatello, proboszcz w Punta Arenas, nadesłał Przew. ks. Jenerałowi następujące wiadomości: „Z prawdziwą przyjemnością spędziłem dwa tygodnie w naszej stacyi misyjnej na wyspie Dawson. Na życzenie Indyan zwiedziłem wszystkie rodziny osadników. Nasi Salezyanie, odcięci od reszty świata i zajęci wiecznie Indyanami, przyjmują z nadzwyczajną serdecznością każdego współbrata, który do nich przyjeżdża. Odbyłem z nimi uroczystość św. Franciszka Salezego, która wypadła bardzo pięknie. Podczas sumy odśpiewał dwugłosową mszę chór, złożony z samych chłopców indyańskich a dyrygowany przez braciszka Piotra Savarino. Dnia 31go stycznia obchodzono rocznicę zgonu naszego najdroższego Założyciela.

Ponieważ dotychczas nikt nie zestawił spisu prac dokonanych na wyspie i nie obliczył ich wartości, wziąłem się do spisywania długiego inwentarza, któryby był miarą pracy naszych współbraci. Ze ścisłością geometryczną wymierzyłem domy, płoty, słupy, mosty i t. d. i obliczyłem dokładnie trzody, tak iż w rejestrze niczego nie brak. Wkrótce wyślę jeden egzemplarz inwentarza do misyi, gdzie go bardzo współbracia pragną, a drugi wyślę Tobie, Przewielebny Ojcze, abyś mógł ocenić pracę Twych synów, zajętych w kwitnącej i odludnionej misyi. Niech im P. Bóg błogosławi *nunc et in perpetuum*...



Do młodzieży.

Kochani młodzieńcy!

Skończył się rok szkolny, a wy, z chlubnem świadectwem w ręku, pełni radości i zadowolenia, polecieliście, że tak powiem, na orlich skrzydłach, pod strzechę rodzinną, gdzie mama, tata, całe rodzeństwo z utęsknieniem was wyczekiwali.

Gdziebądź wy się znajdujecie, czy na żyznych równinach skrapianych Wisłą, Dniestrem, Odrą lub Wartą, czy na uśmiechniętych pagórkach lub maistych Beskidach i Karpatach, czy w pobliżu kopalń i hut z kominami ziejącymi ogniem i dymem — przyjmijcie szczere i serdeczne życzenia wesołych, szczęśliwych wakacyi. Wierzcie mi, że od czasu, kiedyśmy się poznali i zawarli przyjaźń, niepodobna mi zapomnieć o was, drodzy przyjaciele. Otóż życzę wam, abyście oddychając świeżem i zdrowem powietrzem waszych wiosek, nabrali różanych policzków i wrażeniami zaczerpniętemi z przyrody odświeżyli umysł i wyobraźnię.

Lecz nie myślcie, drodzy przyjaciele, że to jedno mieć wakacye a nic nie robić. Niestety z żalem wyznać muszę, że wielu waszych rowieśników jest tego przesądnego zdania. Nic więc dziwnego, że zaledwie skończyli rok szkolny, rzucają książki gdzieś w kąt i do-

piero, gdy się znowu do szkół wybierać mają, wyciągają je zakurzone do niepoznania. Natomiast pędza ten drogi czas w swawoli i lenistwie, nie bacząc, że lenistwo jest ojcem wszystkich występków, że lenistwo psuje dobroć natury, że lenistwo, nakształt rdzy, niszczy człowieka, że lenistwo jest jednem słowem przedwczesną śmiercią młodzieńca. Te zdania wyrzeczone przez usta mądrości Pańskiej, są aż zbyt często potwierdzone faktami.

Jak rola leżąca odłogiem, na której ani się nie sieje ani sadzi, rodzi chwasty, tak dusza ludzka, jeżeli się niczem nie zajmuje, chyli się do złego. I jako woda nie mająca odpływu, psuje i napełnia się obrzydliwem robactwem; jako szabla zawsze w pochwie leżąca rdzą się pokrywa; jako nogi nie poruszane drętwieją — w ten sam sposób w lenistwie upada i psuje się dusza nasza, gaśnie poczucie obowiązku, umysł tępieje a człowiek popada w opłakaną niedołężność. Ach! drodzy młodzieńcy! gdzie grasuje lenistwo, tam niema cnoty, tam niema bystrego umysłu, tam niema ducha wzbijającego się ponad rzeczy ziemskie, tam niema myśli przyszłej chwały i nieśmiertelności duszy, ale rozhukane żądze szarpią nieszczęśliwego ducha.

Przejęci tą prawdą, unikajcie, ukochani młodzieńcy, lenistwa i miejcie się ciągle na baczności, jak gdybyście się chcieli ustrzedz najzaraźliwszej choroby. Zatem oddajcie się rozrywkom które rozweselają wasz umysł, poddajcie ciało wasze ruchom dla jego wzmocnienia i zahartowania, ale pomagajcie też z jak największą chęcią rodzicom i opiekunom waszym w ich pracach i zatrudnieniach. To przyniesie wam pożytek, a onym pociechę.

Nie pozwalajcie także, aby kurz usiadał się na waszych książkach, lecz poświęcajcie codziennie choć z godzinkę czasu na czytanie dobrej książki, którąby kształciła wasz umysł i serce. Równocześnie powtarzajcie sobie to, czegoście się podczas roku szkolnego nauczyli, aby wam się nie przytrafiło to, na co się niejeden uczeń żali, t. j. że przy końcu wakacyi wie bez porównania mniej, aniżeli na ich początku.

Polecam wam wreszcie, abyście przy sposobności uczęszczali codziennie na mszę św., i idąc sobie w ciągu dnia na przechadzkę, wstąpili do kościoła dla nawiedzenia Pana Jezusa utajonego w. Najśw. Sakramencie. Nie zapominajcie o tem, że On nieraz całymi dniami bywa opuszczony, wyczekując daremnie dusz, któreby go przyszły prosić o potrzebne łaski. Ta piękna i pobożna praktyka, którą apostoł młodzieży, ks. Jan Bosko, swym dzieciom tak gorąco zalecał, chciałbym i ja zalecić wam wszystkim, gdyż ona będzie wam upraszała od Pana Jezusa hojne błogosławieństwa, uwolni was od tylu niebezpieczeństw i sprawi, że po szczęśliwych i wesołych wakacyach będziecie mogli wziąć się z całą energią i pewnością dobrego rezultatu do książki.

Więc zgoda: nieprzyjaciel dusz niech was nigdy nie zastaje nieczynnych. Bądźcie grzeczni, zdrowi, weseli i pamiętajcie także o waszym szczerym przyjacielu.

Ks. Radosny.



PIERWSZE

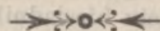
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE

ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



(*Ciąg dalszy*).

Rozdział XXXV.

Zamachy. — Zatrute kasztany i wino. — Nóż rzeźniczy. — Naganne zachowanie się policyi. — Przysługa przyjaciela. — Grad kijów.

Dwaj protestanci, o których była mowa w poprzednim rozdziale, wypędzeniz mieszkania ks. Bosko, pożegnali go słowami: „Zobaczymy się jeszcze!“ Słowa te i wyraźne groźby, któremi księdza Bosko podczas rozmowy zatrwożyć chcieli, są niby kluczem do wyjaśnienia całego szeregu zamachów na jego życie.

Były to zamachy tak liczne, gwałtowne i chytrze obmyślane, że tylko szczególnej opiece Opatrzności Boskiej przypisać należy prawdziwie cudowne zachowanie ks. Bosko w tak wielkich niebezpieczeństwach. Przytaczamy tu kilka ważniejszych wypadków, które znamy z opowiadania naocznych i wiarogodnych świadków.

Jednego dnia po kolacyi, gdy ks. Bosko, jak zwykle, miał wykłady wieczorne, przybyło dwóch nieznajomych o podejrzanej powierzchowności, prosząc go, aby się udał jak najprędzej wyspowiadać konającego w niezbyt odległej dzielnicy, zwanej *Cuor d'oro:* Ks. Bosko, zawsze gotowy na obsługę dusz, i tą razą natychmiast opuścił zajęcie, a wyznaczywszy na miejsce swoje zastępcę, pośpieszył na wezwanie. Lecz gdy już wychodził z domu, przyszło mu na myśl, że ze względu na spóźnioną porę niebezpiecznie jest udawać się samemu w drogę, skinął wiec na kilku starszych chłopców, aby mu towarzyszyli. „Ksiądz nie potrzebuje brać towarzyszów, my zobowiązujemy się odprowadzić go z powrotem. Obecność chłopców mogłaby zaniepokoić chorego,“ zawołali obaj nieznajomi. „Ale niema o to obawy, moi dzielni chłopcy z przyjemnością zgodzą się na tę przechadzkę, a gdy przybędziemy na miejsce, pozostaną za drzwiami, i nie wejdą do pokoju chorego.“ Nieznajomi, chcąc niechcąc, musieli umilknąć i przystać na to. Gdy przybyto do oznaczonego domu, wskazali ks. Bosko pokój, prosząc aby się tym czasem zatrzymał, a oni pójdą uprzedzić chorego. Chłopcy więc zostali w sieni, a ks. Bosko wszedł do obszernego pokoju parterowego. Zastał tam przy stole siedzących sześciu biesiadników, którzy, zapewne po sutej uczcie, zajadali lub też udawali, że jedzą kasztany. Przy wejściu księdza wszyscy powstali, witając go oznakami najgłębszego szacunku, wygłaszając dla niego pochwały i dziękując za tak rychłe przybycie. „Ach, niechże ksiądz raczy nas zaszczycić i zjeść z nami kilka kasztanów!“ zawołał nagle jeden z biesiadników i podał mu półmisek. „O! dziękuję bardzo, ale jestem dopiero po kolacyi i nie mogę już więcej jeść,“ odpowiedział ksiądz Bosko. „A więc przynajmniej proszę skosztować naszego wina. Jest bardzo dobre, bo pochodzi z Asti.“ „Przepraszam, ale teraz i pić nie mogę. Nie mam zwyczaju pić poza czasem posiłku. Mogłoby mi to zaszkodzić.“ „Ale cóż znowu! mała szklaneczka nie zaszkodzi z pewnością, ale owszem ułatwi w nadzwyczajny sposób trawienie. Proszę nam sprawić tę przyjemność!“

Po tych słowach, już nie pytając, wziął butelkę i szybko zaczął napełniać szklanki wszystkich obecnych: na ostatku, zamieniwszy nagle butelkę, zbliżył się do ks. Bosko i nalał mu odmiennego wina.

Ks. Bosko spostrzegł podstęp i zrozumiał od razu, że go chcą otruć. Nie okazując jednak, że poznał ich zamiar, wziął do ręki szklankę pieniącego się wina i wzniósł zdrowie wszytkich obecnych, lecz zamiast przyłożyć do ust, postawił ją na stole, i zaczął się znowu wymawiać!

„Proszę nam nie sprawiać tej przykrości!“ zawołał jeden. „Proszę nam nie wyrządzać tej zniewagi!“ podchwycił drugi — „to jest doskonałe wino!“ — „Chcemy żeby ksiądz chociaż raz połknął szklankę wina na nasze zdrowie!“ zakrzyknęli wszyscy. — „Powiedziałem wam już, że nie mogę dziś pić, i znowu wam powtarzam, że nie mogę i niechcę pic!“ wyrzekł ks. Bosko.“ A jednak bądź co bądź ksiądz się napić musi!“ zawołali chórem spiskowcy, i przechodząc nagle od słów do czynu, jeden ze złoczyńców chwycił księdza za prawą, drugi za lewą rękę, wołając z gniewem. „Nie zniesiemy takiej zniewagi, jeśli ksiądz niechce wypić wina dobrowolnie, to je wypije z przymusu.“ Ks. Bosko uczuł że wpadł w matnię i zmierzył zaraz całą zgrozę tej tak trudnej dla niego chwili.

Użycie przemocy wobec takich zuchwalców nie byłoby rzeczą roztropną ani łatwą. Zmiarkował zatem, że lepiej będzie użyć podstępu, dlatego rzekł: „Jeżeli już koniecznie, chcecie bym pił, to mnie puście; gdy mnie tak trzymać będziecie, szarpiąc w lewo i w prawo ręka może mi zadrżeć i wino się wyleje.“

„Ma racyę — zawołali zgromadzeni i sądząc że ksiądz podda się już ich żądaniu, odstąpili parę kroków, a ksiądz, korzystając z tej chwili, skoczył prędko w tył, przypadł do drzwi, które na szczęście nie były na klucz zamknięte i otworzywszy je, krzyknął na chłopaków.

Ten niespodziany ruch księdza i wejście 4 czy 5 młodzieńców w wieku od 18 do 20 lat położyło kres tej scenie, bo przewodniczący sekty zawołał: „Ale jeśli ksiądz nie ma ochoty pić, to nie zmuszajcie go; dajcie

mu pokój i nie mówmy o tem więcej.“ „A gdzież jest konający?“ zapytał ksiądz Bosko — zawołano mnie przecie do niego.“ Aby pokryć swój niecny zamiar, jeden ze złoczyńców zaprowadził księdza do pokoju na drugiem piętrze położonego, gdzie miał być rzekomy chory.

I rzeczywście ksiądz spostrzegł jakąś osobę leżącą na łóżku; lecz przyjrzawszy się lepiej, poznał jednego z nieznajomych, którzy go przyprowadzili z Oratoryum. Nie dając jednak tego po sobie znać, zadał mu kilka pytań, które tak biedaka zmieszały, ze mimo nadludzkich wysiłków, nie mógł dokończyć swej roli, i wybuchając głośnym śmiechem, powiedział: „Wyspowiadam się jutro.“ Ksiądz Bosko wyszedł z pokoju, składając dzięki Bogu, że za pomocą swoich chłopaków wybawiony został z rąk tych niegodziwych ludzi. Kilku jego wychowanków, dowiedziawszy się o szczegółach tego wypadku, porobiło nazajutrz różne starania, aby wyśledzić przyczynę tego zamachu. Otóż zdołano wykryć że jakiś nieznajomy wyprawił sutą ucztę tym hultajom pod warunkiem, że zmuszą ks. Bosko napić się wina, które on sam dla niego przyrządził. Była to więc szajka najemnych morderców.

Nasz świątobliwy ojciec nigdy tego faktu nie zapomniał i jeszcze w ostatnich miesiącach swego życia, wyszedłszy z kilku księżmi na przechadzkę, wskazał nam ów domek mowiąc: „Oto tam jest pokoj zatrutych kasztanów.“

Zamachy te przybierały coraz groźniejszy charakter, a liczba ich tak się pomnożyła, iż możnaby sądzić, że wielka ilość protestantów turyńskich sprzysięgła się na zgubę ks. Bosko, jako swojego największego nieprzyjaciela. Całą działalność złoczyńców tych przedstawić tu jest trudno; ograniczymy się tylko na przytoczeniu dwóch jeszcze zamachów, które po upływie tylu lat, pozostają nam jeszcze w pamięci, jak gdyby zostały przed chwilą dokonane.

Jednego dnia w sierpniu około szóstej godziny wieczorem ks. Bosko stał przy drewnianej bramie swego dziedzińca, rozmawiając spokojnie z kilku chłopakami, gdy nagle powstały krzyki: „Zbójca! zbójca!“

Istotnie w tejże chwili nadbiega z ulicy pewien Andreis z zawiniętymi rękawami, trzymając nóż rzeźniczy w ręku i wołając głośno: „Dajcie tu ks. Bosko! Muszę mieć ks. Bosko.“

Przestrach ogarnął wszystkich, każdy uciekał i krył się gdzie kto mógł. Między uchodzącymi był też kleryk Feliks Reviglia, który swoją ucieczką ocalił życie księdza Bosko. Zbójca bowiem puścił się w pogoń za nim, myśląc że ściga ks. Bosko, lecz spostrzegłszy swój błąd zatrzymał się w biegu i zaczał się oglądać za swą ofiarą. Tymczasem ks. Bosko, korzystając z tej krótkiej chwili, umknął do swojego mieszkania, zamknąwszy za sobą na klucz żelazną kratę przy wejściu na schody. Zaledwo się zdołał w ten sposób ubezpieczyć, już złoczyńca przyszedł do kraty, i szarpiąc z całej siły żelazne sztaby, rzucając się całym swym ciężarem na bramę, chciał ją otworzyć, ale nic nie wskórał, bo była mocna i dobrze osadzona.

Blizko trzy godziny pozostał on przy tem ogrodzeniu, podobny do tygrysa czychającego na zdobycz. Wszyscy sądzili, że to waryat, lecz on tylko tak udawał, aby się bezkarnie dopuścić zbrodni.

Gdy się chłopcy otrząsnęli z pierwszego przestrachu, zebrali się znowu w gromadkę, naradzając się, jak bronić swojego dobroczyńcę.

Oburzenie ogarnęło wszystkich na widok niegodziwca, który śmiał porwać się na życie ich ojca. Idąc więc za głosem serca, każdy z nich uzbroił się w kij, kamienie i t. p. zamierzając wpaść na zbójcę i rozszarpać go na sztuki. Lecz ks. Bosko stanowczo im tego zakazał, obawjając się o ich życie. Nikt jednak w domu nie mógł pozostać w spokoju. Szczególnie dobra Małgorzata pełna była obawy tak o swojego syna jak również i o chłopców. Cóż było robić? Posłano do policyi, prosząc o obronę i pomoc. Lecz dziś jeszcze przykro nam uspomnieć o tem, że do wpół do dziewiątej nie ujrzeliśmy ani jednej straży, i że dopiero o tej godzinie ukazało się dwóch żandarmów, którzy złoczyńcę skrępowali i odprowadzili do swych koszarów. Niewielki to zaszczyt dla władzy rządowej.

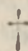
(Ciąg dalszy nastąpi).



NEKROLOG

ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.



Baranowa Ludwika, — *Jastrzębia*, Galicya.
Bednarczuk Grzegorz, — *Jagielnica*, Galicya.
Buchholz Wojciech, — *Gruczno*, Prusy Zachodnie.
Buczyński Wincenty, — *Zabłotów*, Galicya.
Cimoczek Agnieszka, — *Cielnice*, Górny Śląsk.
Cimoczek Walenty, — *Cielnice*, Górny Śląsk.
Drogosiówna Anna, — *Jastrzębia*, Galicya.
Duda Fabian, — *Siemiechów*, Galicya.
Dykusowa Marya, — *Kąsna Góra*, Galicya.
Frenczyk Joanna, — *Miechowice*, Górny Śląsk.
Galosowa Marya, — *Jastrzębia*, Galicya.
Gerłowska Pelagia, — *Poznań*.
Gogolewska Józefa, — *Kraków*, Galicya.
Guss Anna, — *Lipink*, Prusy Zachodnie.
Hermeisz Albina, — *Dorotheendorf*, Górny Śląsk.
Hołda Antoni, — *Jastrzębia*, Galicya.
X. Jelinek Julian, dziekan, — *Lisko*, Galicya.
Jurowska Alojza, — *Siemiechów*, Galicya.
Kaszta Szymon, — *Gurek*, Śląsk.
Kornaszewska Antonina, — *Niedzieliska*, Galicya.
Kras Rozalia, — *Kąsna Góra*, Galicya.
Kruszewska Joanna, — *Hohendorf*, Prusy Zachodnie.
Kucharczykówna Agnieszka, — *Jastrzębia*, Galicya.
Lataś Augustyn, — *Świętochłowice*, Górny Śląsk.
Lincowa Maryanna, — *Podgórze*, Galicya.
Lis Szymon, — *Daniszyn*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Lubecki Jan, — *Laurahuta*, Górny Śląsk.
Odaj Paweł, — *Hugo Kolonia*, Gorny Śląsk.
Otparlik Bazyli, — *Miechowice*, Górny Śląsk.
Pociengiel Jakób, — *Bierzanów*, Galicya.
Pospieszył Anastazya, — *Birkenhain*, Górny Śląsk.
Pyszczyńska Petronela, — *Poznań*.
Rudnicka Józefa, — *Bukaczowce*, Galicya.
Rudowski Jan, — *Gletków*, Prusy Zachodnie.
Siwek Stanisław, — *Tulce*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Skibiński Andrzej, — *Wymysłowo*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Smoczyk Józef, — *Czempiń*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Sosden Andrzej, — *Zagórze*, Galicya.
Spieszna Teresa, — *Jastrzębia*, Galicya.
Stanuch Antoni, — *Jastrzębia*, Galicya.
Steinert August, — *Kr. Huta*, Górny Śląsk.
Strąciwilk Wojciech, — *Brunów*, Górny Śląsk.
X. Stryjakowski Władysław, — *Łopienno*, Wielkie Ks. Poz.
Szarpatowski Jan, — *Wybud. orzechowskie*, Prusy Zachodnie.



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn 1903.

2. Będą więc mieć udział w wszystkich Mszach św., modlitwach, nowennach, tryduach, ćwiczeniach duchownych, kazaniach, katechizacyach, jednem słowem we wszystkich zasługach, jakie sobie zakonnicy salezyańscy w służbie Bożej po całym świecie zaskarbią.
3. Będą również uczestnikami we Mszy św. i modlitwach, jakie codziennie się odprawiają w kościele Matki Boskiej Wspomożenia w Turynie za Dobrodziejów wraz z całą ich rodziną, mianowicie zaś za tych, którzy, bądź moralnie, bądź materyalnie, wsparli Zgromadzenie salezyańskie.
4. Nazajutrz po święcie św. Franciszka Salezego wszyscy kapłani-Salezyanie i ich Pomocnicy-kapłani odprawią Mszę św. za zmarłych współbraci. Pomocnicy, którzy nie są kapłanami, przystąpią do Komunii św. i zmówią trzecią część różańca.
5. Jeżeli który ze współbraci zachoruje, należy o tem natychmiast zawiadomić Przełożonego, który zaraz zarządzi osobne modły za niego. To samo w razie śmierci którego z Pomocników.

VIII.
Praktyki religijne.

1. Pomocnikom salezyańskim nie przepisuje się żadnych praktyk zewnętrznych. Atoli żeby życie ich choć cokolwiek zbliżyć do tego, jakie się wiedzie w zakonie, zaleca się im skromność w ubiorach, wstrzemięźliwość w mowie, ścisłe wypełnianie obowiązków stanu i czuwanie nad tem, ażeby ich słudzy i domownicy dokładnie święcili niedziele i święta kościelne.
2. Poleca się im, ażeby corocznie przynajmniej przez kilka dni odbywali ćwiczenia duchowne. Każdy ostatni dzień miesiąca albo inny jaki dzień dogodny poświęcą na przygotowanie się na śmierć, spowiadając się i komunikując, jakby to rzeczywiście był ostatni dzień życia. Tak po odbyciu ćwiczeń duchownych jak w dniu, w którym się przygotowali na śmierć, dostępują *odpustu zupełnego*.
3. Każdy Pomocnik zmówi codziennie *Ojcze nasz* i *Zdrowaś* do św. Franciszka Salezego na intencyę Ojca św. Kapłani i wszyscy ci, którzy odmawiają pacierze kapłańskie albo oficyum do Matki Boskiej, zwolnieni są od tych modlitw. Dla nich wystarczy dołączyć tę intencyę przy odmawianiu pacierzy.
4. Zaleca się im częste przystępowanie do Sakramentów Pokuty i Ołtarza, tem więcej, że za każdym razem dostąpić mogą odpustu zupełnego.
5. Odpusty te, czy to zupełne, czy też cząstkowe, ofiarować można za dusze w czyscu cierpiące, z wyjątkiem odpustu w godzinę śmierci, który wyłącznie przywiązany jest do osoby, a dostąpić go można tylko w chwili, kiedy dusza odłącza się od ciała i przechodzi do wieczności.

UWAGA.

Jakkolwiek się gorąco zaleca dokładne wypełnianie tych przepisów dla rozlicznych korzyści duchownych, jakie każdy z nich odnieść może, jednakowoż aby nie dawać powodu do skrupułów i niepokojów sumienia, oświadczamy, że zachowywanie tych ustaw nie obowiązuje pod karą grzechu ani śmiertelnego ani powszedniego, wyjąwszy takie wypadki, kiedy to skądinąd jest nakazane albo wzbronione przez przykazania Boże lub kościelne.

Visto, si approva per la ristampa.

Genova, 22 Dicembre 1876.

MICHELE C. COLLA, *Vic. Gen.*

X. JAN BOSKO

urodził się 16 sierpnia 1816 r. w Castelnuovo d'Asti (w tej jego części albo odłamie, który dziś jeszcze zowie się Becchi), dyecezyi turyńskiej, w północnych Włoszech. Ojciec jego, Franciszek, był wieśniakiem, rodem z Murialdo, matka Małgorzata (z domu nazwiskiem Occhiena) pochodziła ze wsi Caprigliano. Ojciec odumarł go, kiedy miał zaledwie 2 lata. W dziesiątym roku życia miał ów tyle znamienny sen, w którym widział, jak wilki i inne drapieżne zwierzęta, które był zaczął paść, stopniowo pod jego wpływem zamieniały się w baranki, te zaś w chłopców skromnych i bogobojnych, z tych znowu niektórzy w kleryków i księży. Jako 12 letni chłopiec o niczem innem nie marzył, jak o zajmowaniu się i opiekowaniu ubogą a opuszczoną dziatwą. Czując w sobie coraz wyraźniej ten wewnętrzny pociąg, mawiał nieraz: *„Jeżeli kiedyś zostanę księdzem, to całe moje życie poświęcę dla młodzieży. Będę chłopców koło siebie gromadził, będę ich miłował, oni mnie również pokochają, będę ich zachęcał do dobrego i oddam się im cały na usługi, byle tylko przyczynić się do ich zbawienia.“*

Roku 1835 wstąpił do seminaryum duchownego w Turynie, a 5 czerwca r. 1841 otrzymał święcenia kapłańskie. Jeszcze tego samego roku, i to dnia 8 grudnia, w dzień Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny, rozpoczął swój zawód apostolski wśród ubogiej młodzieży, a pierwszym opuszczonym i moralnie zaniedbanym chłopcem, którym się zajął, był Bartolomeo Garelli. Następnego roku (1842) w lutym miał ich już dwudziestu, niezadługo liczył ich całą setkę, a nadawszy tym luźnym i zrazu dość niesfornym żywiołom ściślejszą organizacyę, poddał to swoje *oratoryum* pod opiekę św. Franciszka Salezego. Roku 1844 gromadziło się koło niego już blisko 300 chłopców, których musiał nauczać pod gołem niebem, nie mogąc się z nimi z przyczyny niechętnych, lub wprost niegodziwych ludzi, nigdzie usadowić.

Roku 1846 wynajął szopę na Valdocco i tam uczył chłopców katechizmu, przygotowywał ich do przyjmowania Sakramentów św. i zachęcał do życia bogobojnego. W tym samym roku ciężko zaniemógł i usunął się na pewien czas do rodzinnej wioski celem poratowania nadwątlonego zdrowia; 3 listopada powrócił do Turynu, wiodąc ze sobą matkę, która odtąd przy synu zamieszkawszy, nieocenioną stała się dla nowego Oratoryum pomocą. Aby módz jak najwięcej chłopców przygarnąć, X. Bosko sprzedał swoją ojcowiznę a matka Małgorzata nawet ślubną suknię i ozdoby; za to najął obok szopy kilka izdebek i umieścił w nich kilku, później kilkunastu chłopców, których wraz z matką czułą otoczył opieką. Liczba przygarniętej młodzieży rosła z każdym dniem: założył dla niej różne warsztaty, ćwiczył ją w szkółkach wieczornych i dziennych, zdolniejszych zaprawiał do nauk klasycznych. Równocześnie zwiększał się zastęp dziatwy, uczęszczającej do *kaplicy świątecznej*; r. 1847 bywało jej tam nieraz do 800. W roku 1857 pomagało mu w tej iście apostolskiej pracy kilku młodych księży a jego byłych wychowanków; 27 kwietnia 1865, mając w kieszeni zaledwie 40 *centesimi* (= 32 fenygi czyli 16 centów), rozpoczął budowę kościoła Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, który kosztował przeszło milion franków. 3 kwietnia 1874 Papież Pius IX zatwierdził regułę *Pobożnego Towarzystwa św. Franciszka Salezego* (Zgromadzenia salezyańskiego). 1872 założył zakon żeński Sióstr Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, a r. 1875 wysłał pierwszych misyonarzy salezyańskich do Patagonii w Ameryce południowej. 9 maja 1876 Pius IX zatwierdził *Związek Pomocników salezyańskich.*

31 stycznia 1888 o trzy kwadranse na piątą z rana Najdobrotliwszy Stwórca powołał go do Siebie, aby mu za wszystkie trudy i prace, dla chwały Bożej poniesione, stósowną dać zapłatę. Zwłoki jego spoczywają w Valsalice pod Turynem. Panu Bogu swemu służył tu na ziemi wiernie 72 lata, 5 miesięcy i 15 dni. W tym przeciągu czasu wychował i w części wykształcił setki tysięcy młodzieży, kościołowi dostarczył przeszło 6000 kapłanów, zyskał blisko 100,000 Pomocników, założył w Europie i Ameryce około 250 zakładów, kaplic świątecznych i stacyi misyjnych, wybudował wiele kościołów i kaplic, a przez swych misyonarzy w Patagonii i Ziemi Ognistej ochrzcił do 20,000 pogan. Zgromadzenie przezeń założone liczy dzisiaj blisko 2000 członków, posiada około 400 swoich zakładów i wychowuje do 300,000 młodzieży.

(Ciąg dalszy nastąpi).